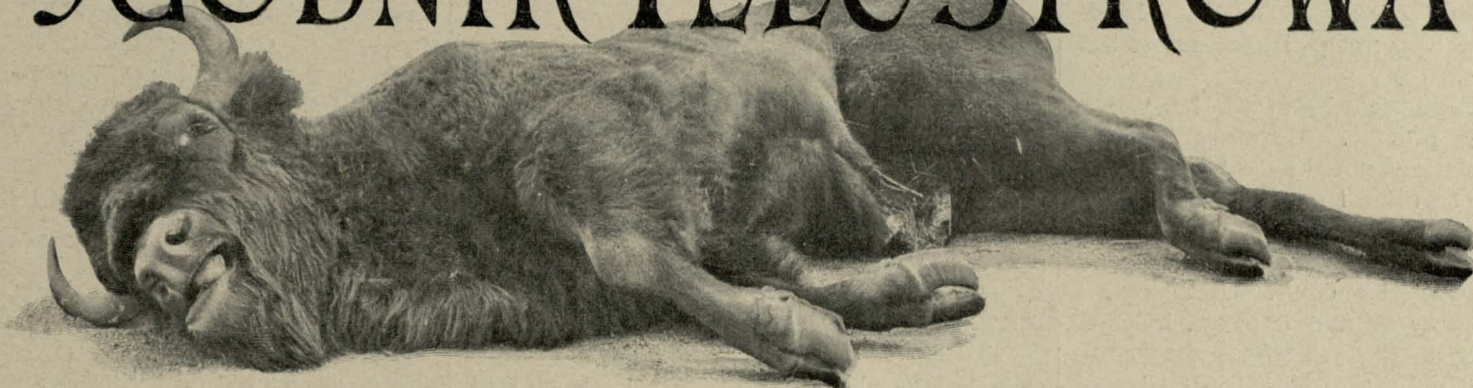


# TYGODNIK ILLUSTROWANY



*Drzewa moje oczyste! Jeśli niebo zdarzy,  
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,  
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?  
Wy, koto których niegdyś pełzałem, jak dziecię.*

A. Mickiewicz.

WŁADYSŁAW RABSKI:

## PIERWSZY GŁUSZEC.

Był pogodny, kwietniowy wieczór, gdy pociąg nasz zatrzymał się na małej stacyjce w głębokiej puszczy poleskiej. Na dworcu czekało dwóch Poleszuków z rusznicami dziwacznych kształtów. Pokłonili się do ziemi, odebrali kufry i pudła ze strzelbami, i na samym wstępie usłyszałem słowo: „Spywają“. A więc grają! Głuszce grają! I „mnoho ich jest, panyczu“—powiada stary Harasym.

Jan, młody akuszer, który, w tajemnicy przed całym tuzinem oczekujących na macierzyństwo swoje pacjentek, uciekł wraz ze mną z Warszawy, uśmiechnął się tryumfująco:

— A mówiłem! Ta knieja głuszcowa nie zawodzi nigdy.

I poszliśmy błotnistą drogą do leśniczówki pobliskiej. Bryczki okazały się zbyteczne. Tuż przy stacyi był tartak olbrzymi, pół wiorsty dalej dom leśniczego, a wokół wielka, mroczna, tajemnica puszczy.

Pan domu czekał już na nas przed drzwiami, z butelką starki i potężnym kielichem w łapach. Ale oświadczył nam z góry, że za kwadrans musi nas opuścić. Na drugim folwarku, oddalonym o wiorst trzydzieści czy więcej, są jakieś nieporozumienia z robotnikami. Echa z Warszawy. Przyjechali w długich butach i czerwonych krawatach. Stała piła parowa.

— Ale przygotowałem wszystko. Śpiżarnia pełna, piwniczka niezła, łóżka porządne. Możecie siedzieć choćby miesiąc cały.

Uściskał nas i pojechał.

Zostaliśmy we dwóch w izbie bielonej, przy długim stole, na którym już dymił samowar. Przecieramy broń, badamy sprężyny, dobywamy z kufrów naboje i pijamy herbatę.

Godzina 10. O północy mamy wyruszyć. Kładziemy się na łózkach i próbujemy drzemać, ale we mnie coś śpiewa, coś gra, coś gada. I Jan usnąć nie może. Podniósł się, chodzi po izbie i wyklada mi po raz dziesiąty wszystkie tajemnice toku głuszcowego. Kiedy się zaczyna, kiedy jest przygrywką romansu, a kiedy pieśnią ekstazy. On zna to wszystko. Ja po raz pierwszy w życiu mam ujrzeć głuszcza na toku.

— Zresztą usłyszysz. *Grau ist jede Theorie.*

Wszedł Harasym i stanął pod drzwiami.

— Już pora, panycze.

— A daleko pojedziemy?

— Sześć wiorst, a może i tyle nie będzie. Mam pięć kogutów w rewirze. Już od tygodnia je wystuchujemy.

Jazda! Każdy na osobnej bryce. Wązkie siedzenia, ale mocne koła. Nie upłynęło pięć minut, a puszcza wzięła nas w swoje objęcia. Niebo było usiane gwiazdami, od wschodu dmuchał wiatr słaby. Za wózkiem moim szło dwóch gajowych i gawędziło pocichu. Im głębiej w las, tem ciemność większa wokoło. Koła skrzypią, bryczki podskakują, nie widzę już nic przed sobą, ale czuję, że rozpoczyna się walka z żywiołem, z bagnem, z wielką zazdrością natury. Jesteśmy w kruchcie Pińszczyzny.

Nagle blask jakiś w oddali.

— Co to?

— Ognie pałą, panyczu. Czekaają na nas — tłumaczy Harasym.





Istotnie, na małej polance płonie spora kupa gałęzi. Trzech poleszuków, owiniętych w cuchnące baranie kożuchy, śpi snem twardym na ziemi. Trzeci dorzuca drzewa do ognia. Tu mamy spocząć aż zaczną błędnąć gwiazdy na niebie. Gajowi oglądają ciekawie broń naszą. Dziwią się, że bez kurków a strzela.

— A niedźwiedzie są?—pytam Harasyma.

— Bywają, panyczu. Ale niema ich tyle, jak dawniej, kiedy jeszcze kolei nie było.

Popatrzył na niebo i mruknął:

— Już pora.

Jeszcze jeden rzut oka na strzelby, jeszcze jedna próba zamków i w drogę. Uszedłszy pół wiorsty, podzieliliśmy się na dwie partye. Harasym i jeden z młodszych gajowych pozostał przy mnie, reszta towarzyszyła Janowi. Mieliśmy podchodzić dwa stare koguty, tokujące najmocniej i w najwygodniejszych względnie warunkach. Jan poszedł ścieżką na lewą, mnie iść wypadło drogą szeroką przed siebie.

Harasym odebrał mi strzelbę, zdjął ze mnie futro i podał dwie duże tyczki.

— Do podpierania—tłómaczył.

Nie rozumiałem dokładnie, o co mu chodzi, ale on palec położył na ustach i mruknął:

— Tak trzeba.

Szliśmy pocichu, jak duchy. Już po kilku krokach uczulem, że droga zamienia się w grzędzie bagienko, a niebawem wodę miałem powyżej kostek. Przed sobą ujrzalem coś niby rzekę. Długa kałuża, a w środku jakaś czarna, wystająca nad powierzchnię linia. Zrozumiałem. Woda była dosyć głęboka, więc rzucono w nią kilka drzew ociosanych, jedno za drugim, tworząc w ten sposób jakby kładkę, niezmiernie zdradliwą, bo ślizką i z okrąglaków złożoną.

Ale od czego tyczki? Harasym poszedł śmiało naprzód. Ja, oparty na dwóch dragach, próbowałem iść za nim, lecz niebawem nogi, nie przyzwyczajone do akrobatyki, zaczęły się ślizgać. Raz i drugi, pomimo tyczek, wpadłem, jak długi, do wody. Ostatecznie zrezygnowałem ze zdradliwej kładki i, choć lało mi się do cholew, brnąłem odważnie przez kałużę głęboką. Trwało to kwadrans, a może i dłużej. Nareszcie Harasym w bok skręcił, i po kilku minutach znaleźliśmy się na mokrej wpławdzie, ale dość równej i nie zalanej wodą polanie.

W milczeniu podano mi strzelbę. Serce uderzyło mocniej. Za chwilę zagra. Mam usłyszeć jakąś muzykę, której nie słyszałem nigdy. Coś, jak uderzenie o siebie dwóch kawałków drzewa, coś... czy ja wiem zresztą? Każdy myśliwy próbował naśladować dźwięk głuszca, ale podobno niewielu jest ludzi, którym udaje się ta imitacja.

Ostrożnie wsuwałem się za gajowymi, którzy, przystając co chwila, wsłuchiwali się w ciszę.

Nic. Zdawało mi się, że Harasym staje się trochę nerwowo. Polecił mi stać w miejscu i rzucił się w gąszcz na prawo. Towarzysz jego poszedł na lewo. A tymczasem dzień zaczynało.

Nareszcie wracają. Prawie równocześnie.

— Nie spytaj, panyczu.

Co? Idziemy dalej, klusem już prawie, bo za godzinę, za pół godziny skończą się toki głuszców. Napróżno! I drugi kogut, osłuchany wieczorem, milczy, jak zakłętą. Usłyszałem tylko w pobliżu jakiś łopot skrzydeł. To głuszka, spłoszona krokami naszymi, zerwała się w gęstwinie.

Świt! Trzeba wracać. Bez koguta, bez strzału, bez pieśni głuszcowej. I znowu idę tą okropną drogą, okropniejszą, niż przedtem, bo w baterii nerwów wyczerpała się już elektryczność. Nareszcie jesteśmy u celu. Przy ogniu grzeją się nasi woznicy. Harasym próbuje mnie pocieszać.

— Ale dlaczego nie grały—pytam niecierpliwie.

— Wiatr, panyczu.

— Jaki tam wiatr? Zaledwie go czuję. A niebo jasne.

— Może ryś spłoszył.

— Ej! głupstwa pleciesz. Ryś mógł spłoszyć jednego głuszca, ale przecież nie obchodził, jak rewizy, wszystkich stanowisk, na których ptaki zapadły wieczorem. I tamten pan nie strzelał. Nikt z nas strzału nie słyszał.

Harasym się zachmurzył. Zadrasnąłem boleśnie jego dumę. Harasym wie wszystko, co się w puszczy dzieje. Wie, co się stało z cielęciami łoszy, którą zabił klusownik; wie, gdzie ryba stoi w potoku, wie, o czym myślą wilki, wyjące o miłą. Ale Harasym nie wiedział, dlaczego dzisiaj nie śpiewały głuszce. I wstyd miał w oczach ponurych. I żał, że nawet jemu puszcza nie powie wszystkiego.

Niebawem zjawił się Jan. I on dziś także toku nie usłyszał. I on wytłómaczyć nie umiał, dlaczego w taki cichy, słoneczny ranek żaden głuszc nie wabił pieśnią miłosną kochanki.

Trudno! Wracamy. Smutne, milczące śniadanie. A potem sen niespokojny.

Obudziłem się około południa. Jana już nie było w łóżku, ale na stole leżał jakiś bilet wizytowy. Czytam:

„Otrzymałem depeszę. Hrabina T. rodzi. Wyjechałem pierwszym pociągiem. Spałeś tak smacznie. Nie chciałem cię budzić. Zabij koguta, i niech cię święty Hubert ma w swojej opiece“.

Zakląłem. Pięknie zaczyna się moja od tyłu lat wymarzona wyprawa na głuszcę. Ale złe duchy śmiały się w puszczy złowrogo:

To jeszcze nie koniec.

Po obiedzie poszedłem na błota. Może choć kaczkę ubiję. Zerwały się całe gromady. Ani jedna nie była na strzał.

Więc wieczorem próbowałem szczęścia na słonkach. Słyszałem, jak chrapały, ale ciągnęły zawsze tam, gdzie broń moja sięgnąć nie mogła.

Na domiar złego, około godziny ósmej wieczorem zaczęło się chmurzyć, a gdy dla zabicia nudy i złego humoru spać się położyłem, kopcząca lampa umalowała mnie na murzyna. Ledwie mnie poznał Harasym, który na szczęście już o dziesiątej do drzwi zapukał. W pokoju było tyle czadu, że trzeba było wszystkie drzwi i okna otworzyć naościę. Ale co tam! Nie pada! Tu i owdzie mrugają nawet gwiazdy. Kazałem sobie przynieść wiadro zimnej wody, zanurzyłem głowę i w kwadrans byłem gotowy do drogi. Tym razem mieliśmy spróbować szczęścia w dalszym ostepie. Dwanaście wiorst drogi poleskiej. Noga za nogą.

Ale nareszcie ognisko. Gajowy, stróżujący w tej kniei, zasnął przy ogniu tak twardo, że dopiero silne kopnięcie Harasyma doprowadziło go do przytomności. Niema co zwlekać. Ruszamy.

Znowu się chmurzyć zaczyna. Noc taka ciemna, że słyszę tylko szmer kroków, ale nie widzę nikogo przed sobą. Nagle szept cichy:

— Zapomniałem fajki przy ogniu. Jeszcze kto ukradnie. Niech Harasym prowadzi pana. Ja was dogonię.

I poszedł. A my posuwamy się wolno. Mija kwadrans, mija pół godziny, a tamtego jak niema, tak niema. Harasym zaczyna się niepokoić.

— Czyśmy drogę zmylili po nocy, czy co? Rozgląda się uważnie, nasłuchuje, wreszcie skręca raptownie na lewo.

— Wiem, że głuszc gra na „czerwonym bagnie“, ale nie wiem dobrze, w którym miejscu zapada, bo to rewir tamtego. Trudno! Czekać dłużej nie można. Jak się poszczęści, to i tak go znajdę.

Coraz lepiej! Jakby wszystkie szatany sprzyściły się przeciwko mnie. Brniemy po błocie w milczeniu, poczyna robić się dzień. Nagle szarpnięcie

gwałtowne. Harasym trzyma mnie prawą ręką, a lewą wskazuje przed siebie. Łomot, tupot, dwa cienie przebiegają w oddali. Łosie! Jak dwa ogromne, przedpotopowe widma, mignęły mi przed oczami. Potworne echa światów umarłych! I cała ta puszcza była mi w owej godzinie jakby bajką o smokach i o wielkoludach. Może tu zagrzmi za chwilę róg Zygfyrdowy, może zjawia się duchy Lechów i Krakusów w skórach niedźwiedzi, z oszczepami w dłoniach.

Lecz dalej, dalej! W kniei coraz jaśniej, coraz... beznadziejniej. Cyt! Harasym stanął, jak wmurowany.

— Spytaj.

Co? Gdzie?... Więc to tak?... Słyszę go... Zrazu, niby trzask kurka od strzelby, niby odkorkowanie butelki, w końcu jak ostrzenie kosi... Urwał... Znowu zaczyna. Ostrożnie, krótko, a potem ta długa, przeciągła melodia szału miłosnego, w której śmierć się czai.

W mgnieniu oka zrzuciłem z siebie futerko, które Harasym bez słowa powiesił na drzewie. Nabijam strzelbę i w lekkiej marynarce gotów jestem do skoku pod głuszców pieśni. Leśnik nachyla mi się do ucha:

— Niech panycz tak podskakuje, jak ja.

Zaczynamy. Po chwili rozumiem już, o co chodzi. Pierwsze dźwięki to uwertura romansu. Jeszcze kogut czuwa i za najłżejszym szmerem odleci. Lecz oto idzie pieśń zachwycenia. Czas teraz! Dwa kroki naprzód! Urywa. A my z nogami zarytymi w moczarach, nieruchomi, jak głazy, czekamy nowej ekstazy.

Idzie pieśń za pieśnią, coraz głośniejsza, coraz namiętniejsza. Głuszc oszalał z miłości. Podskakujemy szybko, z minutowemi zaledwie przerwami. Jeszcze 20 kroków, jeszcze 10. Gra! Gra gdzieś w pobliżu! Już nie mam odwagi się ruszać, ale ptaka dostrzedz nie mogę.

Spoglądam na Harasyma. Wpatruje się uporczywie w jakiś punkt. Nagle podnosi ostrożnie rękę i wskazuje zbitą grupę jodeł wysokich. Wyjętam wzrok, ale, choć rozedniało już dobrze, w kniei jeszcze szaro i mroczno. Mijają długie minuty. Czuję, że krew mi uderzyła do głowy, puls bije mocno, strzelba drży w rękach. Nareszcie! Tam na długiej, wysuniętej nieco gałęzi... o jakie sześćdziesiąt kroków... widzę go... rusza się, drepce, biega. Ale jakże inny od wszystkich malowanych głuszców. Smukły, półksiężycowy, wysoki. Głuszc, nie głuszc? Palec Harasyma wciąż nieruchomo wskazuje cudownego ptaka.

Znów zaczął grać. Urwał! Jakby w przecuciu nieszczęścia. Lękam się podnieść strzelbę, bo stoi tak nieszczęśliwie, że, gdy się zerwie, utonie natychmiast w mrokach gałęzi, i tam nie znajdzie go strzał. Zresztą nie ufam sobie. Płonę i drzę... Chwila jeszcze... odzyskał śmiałość. Jeden takt, drugi, teraz!... Już strzelbę mam przy ramieniu, już widzę ptaka na muszce... spokoju! spokoju!... huk strzału rozległ się w kniei.

Jakby mgłą zasnuły się oczy moje. Jakby w jakimś ciepłym, zmysłowem omdleniu zgięły się kolana. Słyszałem, że coś głucho uderzyło w ziemię, słyszałem jakiś okrzyk Harasyma, ale nie byłem w stanie ruszyć się z miejsca, aby sprawdzić, co stało się z głuszcem.

Oparty o drzewo, czekałem. Po chwili z gęstwiny wyszedł leśnik stary i u nóg mi położył królewskiego ptaka.

\* \* \*

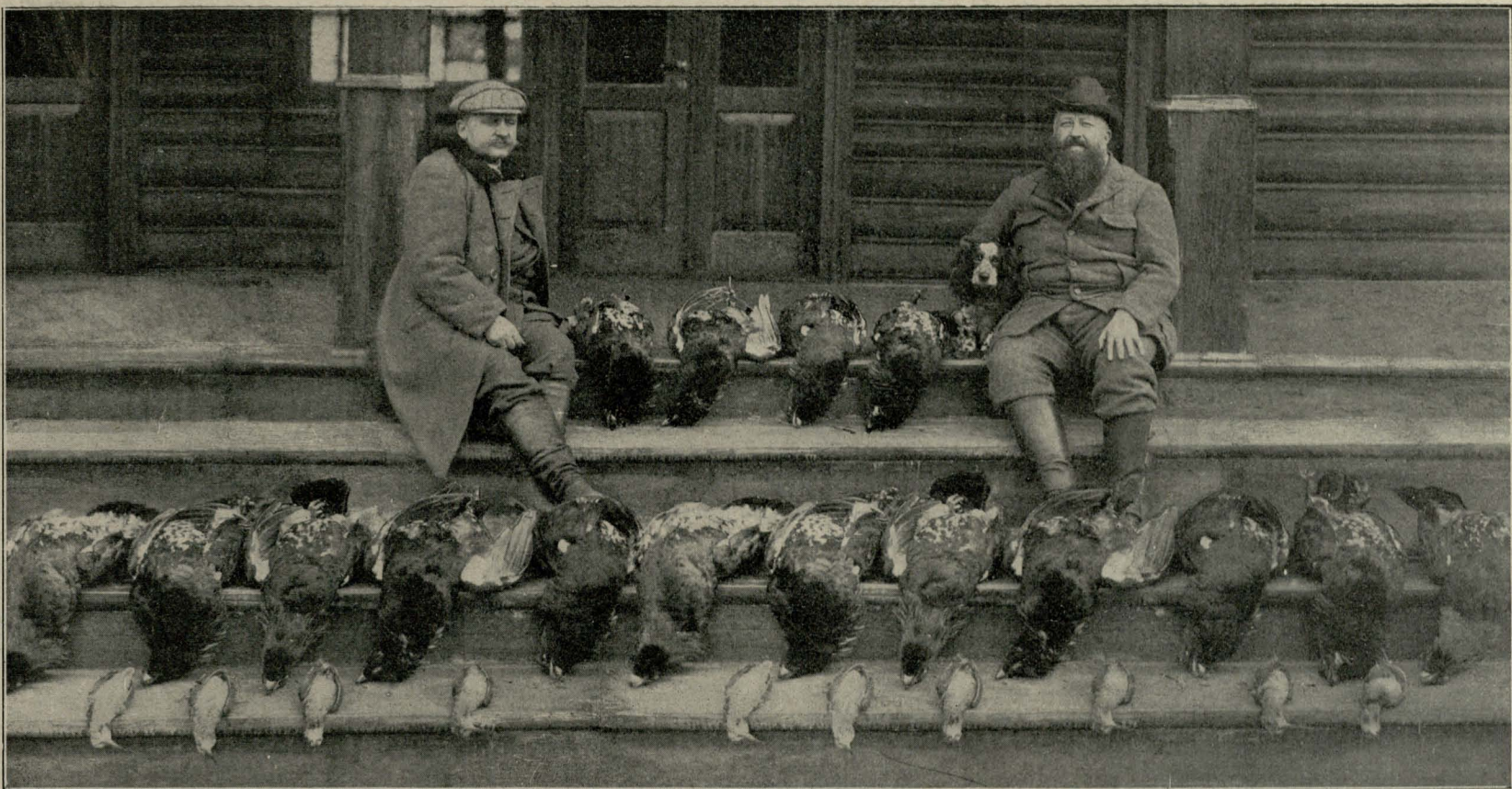
Nazajutrz byłem już w Warszawie. Prosto z dworca pojechałem do Jana i powitałem go słowami:

— Wszystko w porządku. Mam głuszcę.

Uśmiechnął się kwaśno i odpowiedział:

— Wszystko w porządku. Mam bliźnięta.





W dobrach Nowożce (gub. kijowska), należących do Ksawerego hr. Branickiego, odbył się nader rzadki rekord: w ciągu kilku dni kwietniowych 1907 roku upolowali hr. Ksawery Branicki i artysta-malarz Franciszek Ejsmond 16 głąszców i 10 stonek. Fotografia niniejsza stanowi niewątpliwie unikat w swoim rodzaju.

JÓZEF WEYSSENHOFF:

## POLOWANIE Z GOŃCZYMI NA LISA

USTĘP Z POWIEŚCI LITEWSKIEJ „UNIA”.

Jurko Lejtan (stary strzelec, prowadzący polowanie) napominał szeptem:

— Pany, pany! Do lisich jam podchodzim. Cicho trzeba. Wraz i psy puszczam.

Jakoż wstrzymał pochód myśliwych i rozwiązał sfory.

Ze stłumionym piskiem rzuciły się w las młodsze psy: Lutnia, Śpiewka, Zagraj i Szumlas, harując niby na popis kręgami około myśliwych. Starsze: Piskla i Organ, ruszyły odrazu w celowych podskokach, z nosami przy ziemi, zatrzymując się co chwila, obwąchując z rozwagą rosiste kępy. Poważny łeb Organa wznosił się często i zwracał zasute do polowy oko na Jurka, jakby dla porozumienia się z wodzem wyprawy, i zniżał znowu ku ziemi swe obwisłe fafle i rozkołysane klapy.

— Kiedy Organ zagra, bie da!—ubolewał Jurko ironicznie nad losem zwierza, na którego trop wpadnie stary i pewny pogromca.

Teraz zaś, puszczając się za psami w las, wołał dla zachęty:

— Poszukaj, szukaj, szukaj! Poszukaj... Hola, tola, tola...

I, sunąc posuwicie po mchu cichymi chodakami, wyprzedzając długim, wietrzącym nosem resztę swej zgarbionej, lekkiej postaci, rudy cały i płowy, wyglądał sam, jak zaciekły ogar dwunogi, jak lichy leśny, zrodzone na zgubę mniej przebiegłej zwierzyny. Maluczko, a zginął w barwach i powikłaniu puszczy; ogłaszał się tylko swą gardlaną trąbką, coraz dalej.

Matyszkiewicz (inny strzelec) rozstawiał myśliwych po lesie łamaną linią wśród gąszczy, uprzedzając każdego, aby się zlekka okrzyknął



Głuszc. tokujący.



do sąsiadów, dla oznaczenia swego miejsca i uniknięcia możliwego postrzału. Sam Matyszkiewicz poszedł za Lejtanem wycierać knieję, a inni jego towarzysze znikli gdzieś, przyczaili się, wsiąkli w puszcę.

Rokszycki dostał bardzo obiecujące stanowisko na samych lisich norach. Niewielki garb gruntu, porośnięty, jak cała okolica, odznaczał się tylko kilku plamami świeżo poruszonej ziemi i rozdartego mchu, z którego wzyrało pięć czarnych otworów. Kazimierz, myśliwy już wprawny, wybrał sobie miejsce nie przy samych norach, lecz o kilka kroków dalej, mając przed oczyma nory i gdzieś tam jaśniejsze pasma gąszczy. Dla pogłębienia widoku tu i ówdzie obrabiał kordeląsem gałęzie, rozświetlając sobie „wizówki”. Pochłonięty cały przez namiętność łowiecką, którą podniecał wspaniały wysokopienny, pierwotny las, baczył pilnie okiem i uchem, ile mu ten las dotrzyma obietnic, ile nastroży niespodzianek. Ale tymczasem było cicho.

Cisza leśna nie ma nic wspólnego z morską lub stepową, gdzie nic się nie dzieje oprócz zmiany oświetlenia. Cisza litewskiego lasu jest nieprzeżraną widowiskiem żywych szczegółów, nieprzesłuchaną orkiestrą szmerów. Wysoki wiatr, kiedy i nie zrywa wierzchołków do śpiewnych pokłonów, mieszka tam zawsze choćby w drżących konarach brzoź i w strzelistych kitach jodeł. A także ta, która w oczach pędzi od ziemi przemożną bujnością odrośli, na szczytach lekko umiera puszcza: coraz to gałązka, siwym mchem przeżarta, sływa ku ziemi konająca i zawiśnie na niższych konarach; to znowu gruchnie o ziemię szyszka, krąży po powietrzu liść wcześniej zwiędły.

Nieustanne sprawiają szmery mniejsi mieszkańcy rozwieszanej pod błękitami zieleni: plądrują po kuszczach szare ptaszyny, kuja dziecioty na wysokich jodłach, jaskrawe sójki i siwowronki tryskają nagłymi racami w niebie i nika wśród liści. Płomieniem pociągnie





Pierwszy głuszc.

czasem ku sobie oczy śmigająca po mchu wieiórka, niewinna karykatura lisa.

Ruchome cienie migają przez wierzchołki od płynących cicho wielkich skrzydeł: samotny kruk przelatuje. To znowu ogłasza się w górze przyspieszone furkanie lotu dużego ptaka. Kazimierz chwycił za strzelbę, przyłożył się... nie strzelił.

— Cietrzew. Szkoda, że nie samiec. Cietciorka.

Wkrótce, od rozglądania się w zacieśnionym promieniu, Kazimierz nabrał poczucia własności tego miejsca. Poznał już twarze i profile fantastyczne gąszczów naokoło; znał wyraz pagórka, wyszczerzonego ku niemu otworami nor lisich; zbadał przyzwyczajenia szarej ptaszyny, powracającej ciągle na jedną gałązkę, aby ćwirknąć i zajrzeć mu w oczy, miał swe wygodne oparcie o gruby pień i miejsce dla stóp, wysłane bogatym, wysoko strzyżonym kołbiercem mszystym; wiedział, o jakie krawędzie opiera się władza jego broni i wzroku; poznawał w przewiewie zapach leszczyny i różne określone już w mózgu wonie krzewiu i jagód; żył mnóstwem poczuć świeżych, dzikich, odmładzających, które składały się na jedno rozkoszne uczucie posiadania na własność tego nie tkniętego przez siekierę kąta puszczy. Na tem stanowisku oczekiwał obiecanych mu przez ludzi, zapowiedzianych przez drzenie serdeczne zdarzeń.

Ale psy nie ruszały zwierza, ucichły i nawoływania strzelców, bór tylko prowadził swe szerokie gwary, roziskrzony w barwach, gdyż zaległa na niebie słoneczna pogoda. Godzinę już chyba stał tak Kazimierz, gdy dosłyszał zbliżający się szelest... zwierza? nie—to ludzkie kroki. Schodzono, widać, ze stanowisk, aby przenieść się na inne, szczęśliwsze.

Migały przez liście dwie postacie, na przedzie zwyczajna, leśna, a za nią druga ciemna, wysmukła, z krawatem—o zgrozo!—czerwonym, niebywałym w kniei... zdaje się, że kobieta? Kibić, duży kapelusz z położonym piórem...

— Jak mi Bóg miły, pani Krystyna!

Kazimierz odepchnął się łopatkami od pnia, o który opierał się niedbale. Wszystkiego się spodziewał w tem czarownym ustroniu, tylko nie jej.

Zbliżała się uśmiechnięta, prosto ku niemu Drobna, sucha jej noga stąpała lekko i elastycznie po mchu, jak czarna łapka tęczowego jakiegoś owadu. Osadziła się na złączonych nogach tuż przed Kazimierzem i wyciągnęła do niego małą, nadspodziewanie silną dłoń.

— Ja tu pozostanę z panem—rzekła, dając znak przewodnikowi, aby się oddalił.

— Więc powiem panu, rzecz jest taka.

Zamilkła jednak po tym kategorycznym wstępie, oczy szeroko rozwarte zwróciła w las, a ustami przepowiadała drobne słówka bez głosu, jak dziecko, które powtarza cicho wiersze przed ich wydaniem.

— Rzecz jest... jaka?—nalegał Kazimierz przychylnie.

Jeszcze milczała. A tymczasem zagadał las.

Jakiś daleki, ledwie dosłyszalny zgiełk pokłócił się z harmonią szmerów. Niepokój rodził się w głębi puszczy, niby zlot krzykliwego ptactwa, gdzieś nad jeziorem wewnętrznym, niby zbiegowisko ludzkie, oddalone o całe mile. Zgiełk przychodził z powiewem wiatru, zamierał, powracał wyraźniejszy: zbliżał się.

— Ruszyły psy!—zawołał stłumionym głosem Kazimierz, chwytając za strzelbę.

— Tak, tak, ruszyły! Ja to znam—potwierdziła Krystyna.

W oczy jej wstąpiła nagle, promienna radość. Obie ręce wyciągnięte zamknęła w pięście, jakby w nie miała ująć zaraz łuk myśliwski Dyny. Kazimierz rozejrzał się szybko w topografii swego stanowiska, o której na chwilę był zapomniiał, obliczył możliwość strzału, tu na wizówce, tam przez gąszcz rozrzedzony.

Oboje skamienieli w oczekiwaniu.

Gon, wyraźnie z oka, zbliżał się. W przypływającym chórze rozróżnić było już można rozkwilone dyszkanty młodych suczek, kontraltu star-

szych, gniewny baryton Zagraja i urywany, grobowy bas Organa, dającego głos tylko na pewnika.

— Może ja się schowam za drzewo?

— To pani nie zobaczy.

— Stanę przed drzewem?

— Jak pani chce.

— Za panem stanę.

Umieściła się rzeczywiście tak, że Kazimierz czuł w krzyżu pacierzowym magnetyczny niepokój, bijący od jej postaci, a około uszu jakby powiew jej oddechu. Sam zaczął się kręcić i zapominać o lisie. Ale nakazał sobie przytomność umysłu i baczność strzelecką, umocnił obie nogi we mchu i wmawiał w siebie, że jej tam za nim niema.

A granie psów było już pieśnią ciągłą, ułożoną w akord na zasadzie dzikiej jakiejś, ale melodyjnie przejmującej harmonii, jak szum wichru lub oddech wzburzonego morza. Były w tej pieśni takty i oktawy, były sola i zbiorowe crescendo, a wszystko razem—waryanty zasadniczego frazesu: gończej zaciekłości za pożądanym łupem. Niezwykłe z psich gardzieli dobywały się głosy: zanosły się serdecznym płaczem Śpiewka i Lutnia, jęczały spazmem łakącym, męskim Zagraj i Szumlas.

Gon stawał się już wrzawą i tak blizką, że lada chwila spodziewać się było można wychynięcia chytrego pyska lisa, zdążającego rozpaczliwie do nor, przy których stali Kazimierz z Krystyną.

— Idzie, idzie!—zawołała nieroztropnie Krystyna, wskazując ręką, wyciągniętą z pod ramienia Kazimierzą.

Tyle i zobaczono lisa w postaci plamy, za ledwie dotrzegalnej o sto kroków. Mignął jeszcze, ale da'ej, w prawo.

Dopadały tymczasem psy z szalonym harmidrem. Szumlas i Śpiewka obok, złączone jakby w jedno ciało dwugłowe, śmigają wyciągnięte, prowadzące gon i chór, rozpędzone po linii prostej. Wyłamały się z gąszczu inne łby zaciekle, tropiące po ziemi, dzikie w ślepiach. Ale w pobliżu nor lisich wszczęło się w pościgu zamieszanie. Lutnia dopadła aż do nóg Krystyny, stanęła i spojrzała jej w oczy, żałośnie skomlać, niby z zapytaniem, gdzie lis. Ujądanie przycichło, psy kręciły się rozpaczliwie w różnych kierunkach, żaląc się, odrywając łby od ziemi, zdumione, że trop straciły. Aż na miejscu, gdzie uprzednio zobaczyła Krystyna lisa, rozległ się lament nieutulony:

— Aj jaj, jaj jaj jaj jaj jaj...

I czarną błyskawicą przemknęło na prawo ścigłe ciało wytrawnej sukki. Poprawiła Piskla.

— Tu, tu!—potwierdził rozkazującym basem Organ, rzucając się w ślad na prawo.

W mgnieniu oka zawrócone, ściągnięte w jeden kłęb, rozegrane ponownie, puściły się wszystkie psy poprawionym śladem. I buchnęła pieśń pościgu pełna, zgodna z wtórującym bo-rem.

Pośród pieśni nagle, głucho stęknął bór. Gon wzmógł się jeszcze, trwał przez minutę, ale powoli zapadał się przepastnie w ciszę. I pochłonięła go cisza.

— Zabity—rzekł ponuro Kazimierz do Krystyny, łamiąc strzelbę i wyjmując ładunki.

— Ale nie przez nas!—odpowiedziała ze łzami w oczach.—Ten mój krawat go odwrócił!

Zerwała niecierpliwie czerwoną chustkę z szyi.



Na kuropatwy.



O brzasku, przed świtem, zanim na wschodzie pojaśnieje niebo, w dziedzińcach raźnie, powłóczyście rozlega się trąbka. Dźwięcznie, donośnie zerwały się skoczne nuty pobudki, zatrzepotały w powietrzu i, jak pierwsze ranne ptaki, poleciały dzień zapowiadać i budzić do życia. Wszędzie trafiły, wszędzie dotarły mimo mroku i pozamykanych szczelnie drzwi. Jeszcze nie przebrzmiały, a już w stajniach otwierają bramy, już czyszczą i ubierają konie. Już nad kuchniami pojawił się dym z komina, już coraz to nowe okna zapalają się światłem we dworze.

Gdzie spojrzeć, ruch, krzątania i gwar, poprzędzające dni polowania. Od dworu kucharz w białym fartuchu niesie coś na wielkiej tacy, z wozowni wytańczają pojazdy dla myśliwych do lasu, a wszędzie hałas, pośpiech, aż dziwią się wróble, wcześniej, niż co dnia, zbudzone pod strzechą. Wyciągniętego kłusa wjechał strzelec w bramę, u bocznego wejścia zeskoczył z konia, zadzwonił i oddał raport.

We dworze nie śpią już i szumią, jak w ulu. Dzwonki dzwonią na korytarzach, biega służba, do pokoi, w których stoją myśliwi, wchodzą strzelcy. „A có tam na świecie?” Stare, jak świat, pierwsze pytanie myśliwego w dniu polowania. „Mgła, ale wytrze się, będzie pogoda”. „A chwała Bogu, byle nie padało”. Znać łaskaw na nas święty Hubert, bo to dziś trzeci listopada, Jego dzień, na Jego więc cześć i pod Jego wezwaniem odprawić się mają łowy. Ciemno jeszcze, kiedy do jadalni, gdzie na oświetlonym rzęsiście stole zastawione czeka śniadanie, ściągają zaczynają myśliwi. Po dwóch, po jednemu, według tego, jak mieszkają i jak którego dłużej u poduszki zatrzymał Morfeusz. Po chwili zresztą nie brak nikogo, a wszyscy już w rynsztunku, już ubrani do lasu, przy kordelasach, bo tak trzeba, kiedy ruszają do kniei na królewskiego zwierza.

Na dzień dobry gospodarz oznajmia, że dopiero co przyszedł raport z lasu. Dziki są „pewne”; stada i pojedyncze, grube sztuki. Czego tu do szczęścia zapragnąć więcej! Kompania miła, polowanie królewskie, pogoda, wszystko idzie, jak z płatka.

To też humory nadzwyczajne, aż kipi, za stołem rozmowa głośna, swobodna, za swobodna nawet, bo pani do śniadania pierwszego nie przychodzi, żarty, dowcipy nie zawsze cenzuralne, strzelają, jak rakiety. Atmosfera panuje podniecona, pełna nie uświadomionych, tlejących nadziei i oczekiwania tych wrażeń i wstrząśnień, których pożądamy, a które czekają nas w najbliższej przyszłości. Ale nie czas na fraszki i na gawędę. Gospodarz nagli, bo do kniei dwie mile z okładem; wstajemy. Jeszcze chwila zamętu, biegania, nawoływań. Ten woła strzelca, ten szuka rękawiczek, inny zapomniął naboju. Wózki szeregami zachodzą przed podjazd, dwór pustoszeje. Ruszamy.

\* \* \*  
Powoli, leniwie wstał dzień. Nad ziemią białym, zwartym tumanem leżała mgła, a drzewa, las, stogi na polach i wsie, przez które prowadziła droga, majaczyły tylko, jak stare, wyblakłe sztychy, i ledwie rozpoznane, rozplywały się w oparach, jak widziadła. Na wschodzie nad lasem walczyło z chmurami słońce i próbowało przedrzeć zasłony, co przesłoniły świat. Od ziemi chmury poczerwieniały, na niebie w różowych i seledynowych blaskach pojawiło się światło. W ten ponury jesienny ranek świętego Huberta jutrzienka przychodziła smutno, jakby swych losów niepewna, jakby nieśmiała, a jednak gotowa witać uśmiechem szary, pośpny świat. Jak okiem sięgnąć, odarta czarna ziemia leżała martwa i naga, jak trup, którego białym całunem nie nakryli jeszcze żalobnicy. Pola były puste, bez życia;

od łąk, od lasów szedł zapach liści umarłych i zgnilizny. Kracząc nad zoraną ziemią, podlatywały wrony, szukając żeru, pies zaszczekał na drodze, od chłopskich stodół szedł łoskot cepów, bijących zboże na tokach. Na niebie jednak przecierało się, i coraz to szmatami przeglądał błękit z pomiędzy chmur.

Szyta złotymi sztrzałami stońca, mgła kryła się, pełzała po ziemi, jak gad, wiła się, dymiąc nad kotłami łąk i bagien, tała się pod ścianą lasu, zapadała w ziemię i nikła. Coraz to dalej, dalej sięgało oko; coraz to szerszy otwierał się świat. Już na widnokręgu majaczą lasy, do których rączo idą konie; szeroką, siną ławą zaległy przed nami drzemiące jeszcze, przestonięte mgłami, ciemne, głębokie i tajemnicze, jak zagadka.

\* \* \*  
Pierwszy miot, pierwsze stanowisko, pierwszy dreszcz świeżej jeszcze, nie zużytej nadziei. Już odrzucone futro, już nabite strzelby, już błyszczą w promieniach wschodu czarne, stalowe lufy sztucera.

Zaczyna się hazard, pełen niewysłowionego uroku, febrzy i oczekiwania. Tuż za myśliwym, na stanowisku na leśnej drożynie, nieruchomy i milczący, jak głaz, stoi przyboczny strzelec i trzyma strzelbę na zmianę. Przed stanowiskiem, jak morze, głębokie i, jak morze, tajemni-



Wieniec ze szponów drapieżników.

czy, zwartą ścianą stoi las sosnowy, zielony. Smutny, jesienny las, cichy jeszcze i śpiący, a taki swojski, taki znany, kochany od dziecka. Wyrósł razem z myśliwym, chowali się razem, pokochali za młodu, jedną mają duszę. I—bez słów zaczyna się rozmowa dwóch starych przyjaciół, rozmowa, przez nich tylko rozumiana, dla nich tylko dostępna, pełna szeptów, czaru, obietnic i dreszczów rozkoszy.

— Powiedzże, miły, co ześlesz mi dzisiaj, co kryjesz dla mnie w swych głębiach, powiedz, czy to dziś mój dzień?

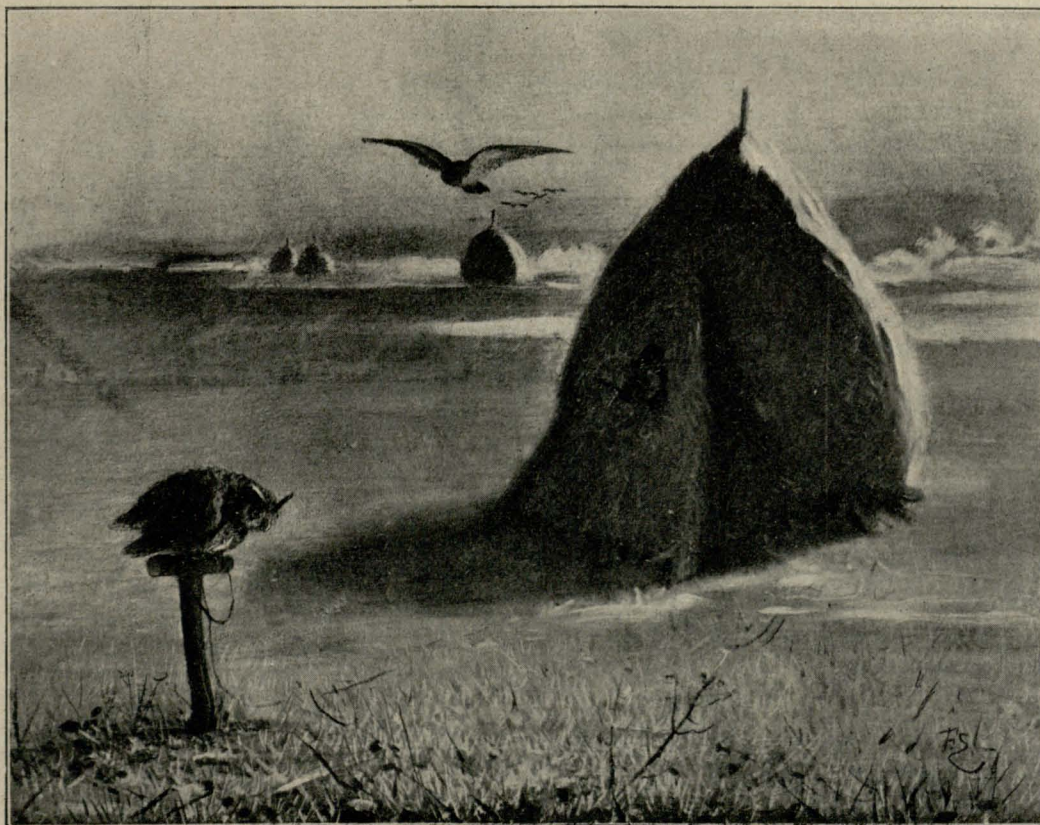
A nad świerkami ranny wiatr przejdzie, i las odpowiada szeptem: Cicho, zobaczysz, cicho, cicho!

Krew ucieka do serca, mimo zimnych pocałunków mgły pali twarz; dreszcz przechodzi po skórze. Cichy, nieodgadniony, zamknięty w sobie las coś szepcze, coś opowiada: wiatrem, kiedy zagra suchymi liśćmi, szelstem spadającej gałązki, ciszą i oczekiwaniem.

„Cicho.—Próżno myśliwi natężają ucha, Próżno, jak najciekawszej mowy, każdy słucha Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka: Tylko muzyka puszczy gra do nich z daleka”.

Aż gdzieś daleko, gdzieś w głębi mrocznej kniei oczekiwana przecież, a taka niespodziana, nagła trąbka zagrała. Żalonna, przeciągła nuta zerwała się, rozdarła ciszę, poleciała przez las, jak ptak, coraz dalej, dalej, coraz to dalsze budząc ostępy; zagrała i ucieła. „Ruszyli!”—szepnął strzelec. Obrazy, tylekroć widziane, czar wrażeń przeżytych, a jak trudno uchwycić je, wytłómaczyć i przelać na papier!

Na myśliwych powiała szerokim skrzydłem Nadzieja, serca zabiły żywiej. Jeszcze drgały w powietrzu ostatnie tony trąbki, jeszcze nie przebrzmiał sygnał, jeszcze odpo-



POLOWANIE Z PUHACZEM

FR. EJSMOND





#### WYPRAWA MYŚLIWYCH NA SŁONKI (NA UKRAINIE).

Od lewej ku prawej: pp. Cieciszowski, J. Stolcman, W. Stonczyński, Michał Siemiradzki, Ks. hr. Branicki, Fr. Ejsmond, Edw. Orda.

wiadały gdzieś daleko echa, a już w kniei zbudziło się życie. W ostępie zrywały się i leciały na myśliwych szmery jakieś i głosy, dalekie jeszcze, mętne, ledwie uchwytnie i odgadywane raczej, niż posłyszane. To zbliżały się coraz wyraźniejsze, to cichły i tonęły w głębinach lasu. Gdzieś daleko ptak zatrzepotał, zrywając się do lotu, coś zatętniało, głos jakiś krzyknął w obławie—i znowu było cicho, tak cicho, że słyhać było własny oddech i daleko, w lesie kucie dziecięcia. A jednak w tej ciszy grała „muzyka puszczy” tak, jak słyhał ją Mickiewicz.

Wszystkie umysły napięte były i w oczekiwaniu tego czegoś, co, ukryte jeszcze dla wzroku, nieznanie i niepewne, szło jednak ku nam z kniei, zagarniętej ławą obławników. A obława była cicha, najczęściej upajająca, najczęściej drażniąca wyobraźnię, obława, w której czekać i spodziewać się trzeba nieustannie. Miot był zwarty, obiecujący; las pachniał grubym zwierzem. Pod ciemnym sklepieniem sosen i świerków, w podszyciu leszczyny i jałowców oko nie sięgało dalej, niż strzał, do którego gotowym trzeba było być każdej chwili. Już na lewym skrzydle krótkie, urwane trzasnęły dwa strzały bezdymnym prochem, jak dwa kłaśnięcia biczem. Ze stadka cietrzewi, ciągnącego nad linią, jeden zatrzymał się nagle i spadł, jak kamień, za stanowiskiem.

W miocie coraz więcej ruchu. Z palcem na cynglu stoją myśliwi, czujni, jak żórawie, wpatrzeni w zieloną ścianę, nasłuchując, skąd przyjdzie zwierze. Na trzecim, czy na czwartym stanowisku rozległ się suchy, dobitny strzał ze sztucera. „Do dzików strzał”, szeptem przestrzega strzelec. Od pierwszej chwili uwaga napięta jest do najwyższego stopnia, bo co cenniejszy, szlachetny zwierze rusza przed obławą z daleka i pojawia się przed stanowiskiem zrywką wcześniej.

W tej ciszy oczekiwania, na przeciągniętych nerwach, jak na strunach, najłżejsze, najniklejsze grały odgłosy; szmery w liściach, leżących na ziemi, ptak, przelatujący z drzewa na drzewo, szelest spadającej z drzewa

gałązki, znowu padły dwa strzały dalej na lewo i jeszcze jeden bezpośrednio tuż obok na sąsiednim stanowisku. Zatętniało—i od strony, w której strzelono, wypadło naoslep rozpadzone, rozhukane stado sarn: pierwsza, druga, trzecia—same kozy. Ej, rwą przez jałowiec, aż ziemia pryska z pod racic, wyciągnęły się, jak strzały. Dopadły, zawahały się chwilę, jednym susem przesadziły linię i, błysnąwszy białymi talerzami, zniknęły w gąszczu za myśliwymi. Kozła nie było przy stadzie, padł od strzału sąsiada.

Jeszcze chwilały się roztrącone przez sarny zarośla, jeszcze słyhać było trzask uciekającego stada, kiedy między wrzosami mignęło coś przed stanowiskiem. Tym samym prawie tropem, pełzając między jałowcami, jak wąż, chyłkiem, pocichutku, wzdłuż linii pomykał lis, jak długa, żółtawa gąsienica. Jeszcze jeden duży krzak jałowcu, potem odkryte miejsce; broń już przy twarzy.



Kuchnia myśliwska.

Wychyla się z za krzaka śpiczasty pysk, chytra głowa z wielkimi, otwartymi szeroko oczami, nie dalej jak piętnaście kroków. Stanął i—jak piorunem rażony, bez ruchu upadł we własnym tropie.

Strzelec podać zdążył za ledwie drugą strzelbą, kiedy na linię wyskoczył zając; zatrzymał się, przysiadł i, tak jak lis, padł od jednego strażu. Coraz żywiej, coraz gęściej strzelano na całej linii myśliwych. Strzały padały po jednym, po dwa, po kilka naraz; całą linię ogarniała atmosfera febrzy.

Jeszcze zając, jeszcze szczęśliwy strzał, drugi mignął tylko, kiedy zmieniałem strzelbę, i poszedł za linię nie strzelany. Na jednym z dalszych stanowisk postrzelił ktoś dzika. Jak na dłoni, widać było, jak ciężko ranny powlókł się przez drogę. Obława zbliżała się, bo w miocie roilo się od zwierza. Po jednym, po kilka naraz zające migały przed stanowiskami, słyhać było cietrzewie, zrywające się z pod naganiaczy. Przeciągnęła słonka i—poszła chybiona. Coraz to częściej słyhać było wzdłuż linii „Pilnuj!” albo „Tire-haut” ostrzegających się wzajemnie myśliwych, coraz to gęstsze rozlegały się strzały.

Myślałem właśnie w duchu, że dzików po tylu strzałach trudno się już w miocie spodziewać, kiedy zaszleściło w liściach, zatrzeszczała sucho łamana gałązka. Zwróciłem głowę i—skamieniałem, krew uderzyła mi do głowy. Całe stado było przed stanowiskiem. Dwa grube dziki, widocznie sztuki, wiodące stado, stały blisko i, wietrząc, badały otoczenie. Z nastawionymi czujnie uszami, łowiąc podniesionymi ryjami wiatr, stały nieruchomie, jak uosobienie rozwagi i ostrożności. Reszta stada stała za nimi głębiej, rozsypana w zaroślach, i wyczekiwała niepewna, dokąd poprowadzą je przewodnie samiry. Pod ciemnym sklepieniem drzew migały w podszyciu i snuły się przez jałowce czarne, masywne postacie, bez hałasu, jak cienie. Ledwie trzasnęła sucha gałązka, ledwie zachwiała się poruszona paproć. Bacząc, czy ruchu tego nie dostrzegą, powoli, ostrożnie odsta-





WILKI

Prof. ALFRED WIERUSZ-KOWALSKI

wilem strzelbę i sięgnąłem po sztucer, oparty o drzewo. Tymczasem, jak na zamówienie, strzelił ktoś na skrzydle.

Prowadzące dziki, nasłuchując, zwróciły głowy, już nie patrząc w stronę stanowiska, ruszyły niespokojnie i przystały znowu, wahając się, w którą uderzyć stronę. Kurcz ścisnął mnie za gardło, kiedy podnosiłem dłoń do ramienia, zęby szczękały mi, jak w febrze. Za samurami ruszyło stado, i coraz to więcej dzików, coraz to dalsze sztuki wynurzały się z gąszczu; mniejsze, większe i zupełnie małe tegoroczne warchlaki.

Duży, karasiowaty wycinek wysunął się z jałowców, pokazując mi bok cały. Do tego zmierzylem. Muszka minęła ryj, potem małe błyszczące oczy, przesunęła się pod nastroszonymi uszami, pod grzywą na karku—niżej trochę, padł strzał. Zaszumiło, zakotłowało się, jak-gdyby ruszyć się miał z korzeni las cały, zatrzęsły się zarośla; stado runęło, jak czarna lawina. Z łomotem, z traskiem, prując krze jałowców, kładąc co mniejsze drzewka, czarne, grube sztuki przewalały przed stanowiskiem, aż ziemia stękała. Ogromna maciora, trafiona drugą kulą, rulowała w ogniu. Nabijaj, nabijaj! Drżącymi od pośpiechu rękami otwarty sztucer, odrzucony wystrzelony ładunek, jeden tylko, na drugi niema czasu. Strzelec wsunął nową kulę. Jeszcze widać ostatnie sztuki ze stada, jeszcze strzał—i ze strzaskaniem krzyżem leży trzeci dzik za linią. A to dobrze poszło, a probuje strzelec, doskonale! Wzruszeni obadwaj, oddychamy głęboko po przebytych wrażeniach. Pomykają jeszcze zające, ale te małą już tylko budzą uwagę, i strzelamy je, jak z łaski.

Zresztą miot już skończony, między drzewami widać obławników, na skrzydłach wyszli już na linię. Myśliwi schodzą ze stanowisk, obława i strzelcy zbierają i znoszą zabity zwierzynę. Strzelec dobija kordelasem dzika, który rzuca się ze złamanym krzyżem; pierwszy akt jest skończony. Sześć dzików, rogacz, cietrzew, dwa lisy i kilkanaście zające leży na rozkładzie.

Śpieszymy do drugiego miotu, gdzie rozstawiona już czeka druga obława.

Wieczór—za ciężką, rudą chmurę zachodziło słońce. Nikłym, bladym promieniem ozłociło wierzchoły sosen po raz ostatni i zgasło. Krajobraz posmutniał, zacierały się reszty barw, w lesie

zaćmiło się złoto liści, poczerniała zieleń, która żyła jeszcze na łące; na ziemię, osłaniając świat mrokiem, schodziła posępna, jesienna noc. Już w kniei ucichły strzały, umilkł już gwar obławy; łowy były skończone. Tylko żywiej biły serca, tylko złudzenie trąbki grało jeszcze w uszach. Razem z wieczorem przychodził spokój, ziemia układała się do snu. Powiało chłodem, po lesie wiatr zaszumił, nad łąką wstawała mgła. Czarne ptactwo gromadami ciągnęło od pól i zasiadało w lesie na nocleg; na niebie zapalały się pierwsze światełka gwiazd. Noc, smutek i cisza szły na świat.

W lesie, na polanie, u czarnej ściany drzew na czterech wysokich palach, spowitych wieńcami, pałą się w żelaznych koszach cztery wielkie, smolne ogniska, jak wielkie, jasne pochodnie, jak cztery stopy ofiarne. Czarnym warkoczem dym z ognisk idzie, przewala się, jak smok, i długą smugą usianą iskrami, płynie nad lasem.

Jasno świecą ogniska, a pod zielonymi wieńcami, na usłanym z jedliny kobiercu, na rozkładzie, śpi snem ostatnim zwierz. Na czele, na pierwszym miejscu czarny, królewski zwierz—dziki. Srebrzą się w blasku sumiaste grzywy szczeciny, u odyńców bieleją kły, jak złoto, mieni się w ogniu ruda, puszysta barwa lisów, a dalej zaległy płowe rogacze, lekkie jeszcze i smukłe

mimo śmierci, co skuta im ruchy. Dokoła starszyny, jak szary leśny tłum, zaległ pokotem pokorny ludek zające. Gdzie jaśniej zaświeci płomień, tam koralami czerwieni się krew.

Za pochodniami, pod lasem, już w mroku, z trębaczami na czele stanęła obława i straż. Gdyby nie jasne oczy kobiet, spoglądających ciekawie z pod kapturków, i nie gromadka myśliwych na pierwszym planie, myślećby można, że to całopalenie, albo średnio-wieczny, uroczysty obrząd na cześć świętego Huberta, taki, jak odprawiany był niegdyś po łowach szczęśliwych. Cicho, tak cicho, że słyhać trzask płonącego łączywa. Zebrani milczą i są pod urokiem obrazu, bo nie często dano oczom myśliwego oglądać piękniejszy. Nikt nie znajduje słowa i nie odzywa się pierwszy, ale ten niemy podziw i ta cisza wymowniejsze są i milsze gospodarzowi, niż głośnie słowa podzięk.

Łowczy dał znak, strzelcy podnieśli do ust trąbki i zgodnie, na komendę odezwała się fanfara.

Poniosła się het pod niebo, potoczyła się po ziemi i, zbudziwszy zasypiające knieje, przeniknęła las cały. Faun, który gonił Rusałkę, zatrzymał się zawstydzony, ptaki podniosły głowy, stado dzików stojące nad bagnem ruszyło, sarna w półskoku stanęła na leśnej drożynie, a spłoszony lis zaszył się w haszcze i nasłuchiwał.

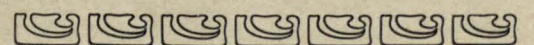
Z trąb równą falą, jak hymn, płynęła melodya, leciała wysoko i konała gdzieś pod chmurami. Z nad czarnych sosen jasny miesiąc wyjrzał, zdziwiony, kto śmie zakłócać nocny spokój. Zaświecił, przejrzał się w martwych żenicach i, obojętny, powędrował dalej kończyć nocne stráže. A wyżej jeszcze, z nad gwiazd i z nad miesiąca spoglądał święty Hubert, patrzył, cieszył się, że ma takich synów na ziemi i—błogosławił.

\* \* \*

Noc, zaszedł miesiąc, śpią knieje. Tylko nad lasem czerwieni się jeszcze łuna rozkładu. Dłużej świecić będzie wspomnienie; wdzięczność nie zgaśnie nigdy.



Po obławie.





MIECZYŚLAW FRENKIEL:

## CZAS ŁOWÓW NASTAŁ.

Jegomość pan Kacper z Pęcławic Wichura z za zwierciadła stary dobył kalendarz. Że to w czytaniu, a nawet i pisaniu peritus był znacznie, te, które czas niszczyciel salvat, karty przzeriał.

...wielce kunsztowny, od uczonych mężów, filozofów y astrologów koncypany kalendarz, który w każdym uczciwym y bogoboynym domu tak szlacheckiego, jako y podleyszego stanu y zawołania, znachodzić się winien.

Wszelakie aury zmiany na tydzień przed ich nastaniem odgadnione będą, wraz Solis et Lunae transformacye. Stare wyprobowane leki y dryakwie, na wszelakie ludzkie tak duszne, jako y cielesne niemoce łacno tu naydziesz, jeśliś sztuki czytania nie obcy!

Gdyby zasię który z onych leków choremu szkodę uczynił, lub mu też zgoła życia umknął, albo-li też gdyby aury prognostyki nie ziściły się, tedy twórca onego kalendarza wszelakim praktykom z bockowskim a na kobierczyku libenter się poddaje.

Restrikcyja: prognostyki y leki, od dziadka zasłyszane, spisałem...

### Łowy.

December. Słońce wstępuje w znak koziorożca.

Stare przysłowie głosi:

„Mroźny grudzień, wiele śniegu,  
„Żyźny roczek będzie w biegu.“

Knieja! Każdego krwie dobrej człeka w tej porze okrutna do łowów ochota zbiera. Po staremu z oszczepem w dłoni na niedźwiedzia lub żubra iść się winno, aczkolwiek modus ten polowania zgoła zarzucono i słusznie! Ludzie przyszli do konkluzyey, iż plon z takowych łowów byłby daleko obfitszy w myśliwych, niż w zwierzynej, a o to przecież w tey szlachetney zabawie nie idzie.

Tedy...

(Tu karta totaliter zatłuszczona, że to z pod Jejmościnego placka salwowana).

Januarius. Słońce wstępuje w znak Wodnika.

Uwaga: Wodnik wyrażony tu jest jeno pod figurą, ile że stare przysłowie głosi:

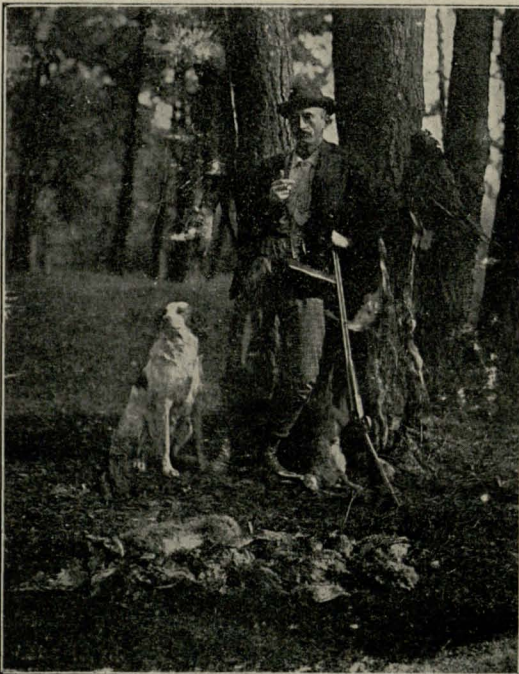


Gruby zwierz.

„Gdy się stary i nowy rok styka,  
Gościom grzeczny Bachus kufła nie umyka“.  
(Juściż tu o wodzie mowy niema!)

Wdzięczna Dyana, bogini łowów, miesiąc ten personifikuje.

Ba! Chętnieby niejednen do niedźwiedzi, dzików, jeleni, a nawet y podleyszey zwierzyzny



Rezultat dnia.

przystał, byle od tak foremney bogini być nieco postrzelonym!...

(W paru kartkach defectus. Jacuś zbereźnik wydarł. Za karę in fundo (w lamuśniku) noc całą przesiedział)...

O starościcu sandomierskim, jako to za żywota swego zdrożności, w niedźwiedzia przemieniony, pokutę sprawował.

Historya srodze smutna.

Podstarości Mateusz podczas właśnie, drzejąc i kiwając się na podjezdku, drogę uronił. Srogie śniegi zasypały ślady. Choć zgiń! Tak tedy, błądząc, matecznika dojechał. Widzi, podnosi się na tylne łapy okrutne niedźwiedzisko i wali prosto na niego. Podstarości, nie mieszkając, z konia zeskoczył i na drzewo się kwapi, a niedźwiedź zgoła ludzkim kształtem doń prawi:

„Nie bójże się wasze! Sam Pan Bóg mi cię na ratunek przysłał. A toż ja tu lata całe w tym ostępie siedzę, na ssanie łapy skazany, (taka i żywota mego magna pars fuit), ile że jestem duszą pokutującą!“

Podstarościęgo strach obleciał, włosy dębem stanęły, przeżegnał się pobożnie i pyta:

„I za cóż cię to w niedźwiedzia przemieniono?“

„Jeno mnie nie tykaj, bom świń z tobą nie pasał, durniu!“ — krzyknął niedźwiedź. — „Idę z Jasnien Wielmożnych! Jestem starościc sandomierski!“

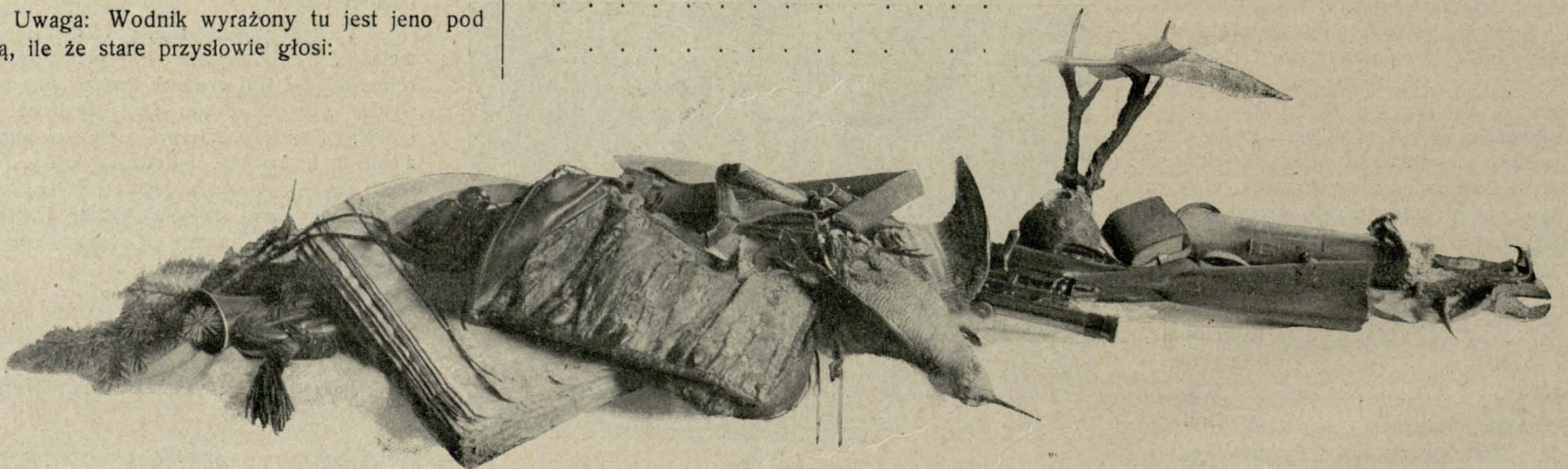
„Mea culpa, JW-ny Panie“.

„Tedy ci powiem, żebyś wiedział, boś mój wybawca“.

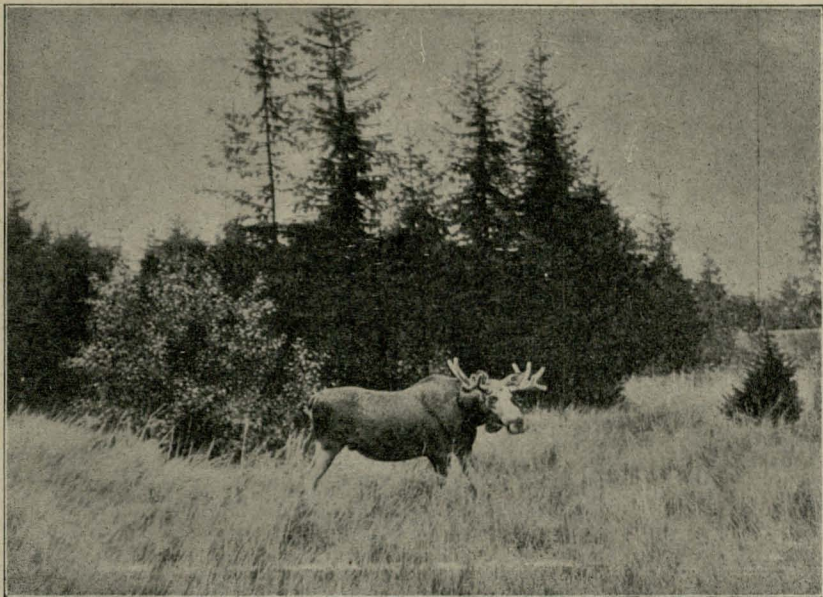
W godzinie skonu usłyszałem głos wielki: „Za to, iżes dla łowów zaniedbał kościół i modlitwę, za to, iżes dla łowów zaniedbał sprawy publiczne, za to iżes dla łowów zaniedbał żonę, białołową zacną a gładką, za to, iżes na łowach po pijanemu więcej ludzi, niż zwierza, ustrzelił, za to w niedźwiedziey skórze w kniei pokutować będziesz, aż cię kto znajdzie i z onych ciężkich wybawi terminów“.

Tak było!

Tedy Bóg ci zapłać! A nie zapomnij, wasze pokornie prosić swego pana, iżby za moją duszę trzy msze śpiewane zakupił i przysłał mi tu parę garncy miodu y nieco jadła, ile żem zgłodzon kaducznie, a nie wiem jeszcze, jaki od Najwyższego Trybunału dostanę ordynans!







Łoś.

STANISŁAW WITKIEWICZ:

## Łowy na niedźwiedzia.

Ledwie niedźwiedź odrośnie od ziemi, już nań czyhają wszyscy, ile ich jest w górach, tacy, co umieją flintę podnieść do zębów, tak z naszej, jak i z Liptowskiej strony, tak z Orawy, jako i ze Spiża. I jeszcze potem wymyślają, że jest „plugac“, „nieobitelny dzwierz“, że nie gnieździ się i nie siedzi na miejscu, że się „ś nim trudno zwidzieć!“

Sam Sabała, w walkach, staczanych głowa na głowę, zabił trzynaście! A ileż z potarganymi kudłami, z lotkami w ciele, albo kulka, która trafiła za nisko, nie „na kumoreę ku sercu, ino na bandzioch popod tę przegrodę, co jest przegroda w każdym zwierzęciu“, ile takich poszło „z bekiem“, konało w długich męczarniach głodu i bólu i zginęło bez wieści!

— I tak było: Poleciałek do hał, idem, i były takie wielgie kosodrzewiny, widzem idzie ś nik niedźwiedź, a taki popod łopatki biały i głowę miał białom, ale takom zółtawom. Myślałek, co ku mnie pójdzie, a on poseł dołem i bez taki źlebek, zaś potem wyseł na takom gronke i stał na syćkik łapak i pozierał ku dolinie. Nie mógł go trafić na kumoreę, bo smrecek zasłaniał i wiatr tom gałązkom rusał, toz to strzeliłek ponizej na bandzioch. A on kłął na syćkie styry łapy, jako stał—odesła go włada—i spadł z gronki. Ja tu pilno kciałek nabić i strzelić, ale jakek ku niemu pełznął, zdjątek tórbkę, bo zbercała, juźci biegam, tu sukam, nie mogę najść!

No i dobrze niebardzo: niedźwiedź wstał i poseł. Toz to ślakował go ku wodzie i on seł temi wodami, opił się jej, ślak nasełek łapy na mule. Juźci idem za nim, toz to w jednym miejscu dwa kęsy krwi zaskrzepłej leżały na mchu. No i co się nie zrobiło, ja poseł za nim dołu, a on zaś w takie wiersyki zaseł i tam zdek! Cały tydzień go sukalek. Do dnia na smreku siedział, a pozierał, ka tez hawrani na te marsine ś niego polecom. Toż to potem owcarze naleźli go potarganego, kuny, liski, hawrani ozniesły to, zaś tam ino kudły walały się a kości. Hej!

Niekiedy z tej walki, prowadzonej z obu stron z zaciekłością, bez miłosierdzia i względu, wynikają epizody nadzwyczaj dramatyczne.

— Raz polowace našli niedźwiedzice z dwomi małemi, postrzelili jom; toz ta sła i kopała doły na zdeknienie, pietnaście dołów wykopała, aze w sesnastym zdekla. A te małe jom jesce dopadły i ssały zdeknionom, aze się zapienity. Dopiero se pomiarkowały, co ona niezyna, to zaś posły temi samemi ślakami, skąd przysty, bośmy

ik ślakowali bez Polskom Tomanowom. Ale to małe było a mądre, i one wiedziały, jak się na zimę ułożyć!

Nie obeszło się bez strat i z ludzkiej strony. Ranny niedźwiedź, nim go dobito, obalił raz pięciu chłopów, z których dwóch poszarpał na śmierć. Zwykle jednak każda wyprawa, każde spotkanie bądź z Sabałą, bądź z innym myśliwcem kończyło się strasznym pogromem niedźwiedzi, nadybanych pojedynczo, lub wycięciem w pień całych rodzin, bez żadnej krzywdy dla strzelców, o ile naturalnie Liptacy, polujący jednocześnie na Zakopianców, nie popruli ich lotkami, ale i na Liptaków były sposoby: kulka i lekkie nogi.

I tylko o jednym niedźwiedziu Sabała mówi: Trzysta dyabłów zjadłeś, toś ty mędrszy, jako ja, kiejs ty potrafił wystrzelić, to ty potrafiś i nabić!

Temu jednemu udało się wyprowadzić w pole przebiegłego nieprzyjaciela, zjeść przynętę, ostawioną pięciu nabitami i połączonemi drutem strzelbami i pójść zdrowo na borówki.

Inne ginęły niechybnie od kul, od lotek, albo złapane „do oklepca“, z którego mogły się wydostać, chyba urwawszy część łapy, uwięzionej w żelazo.

I nie ma on tej nawet pociechy, żeby mógł słuchać opowiadań Sabały o sobie, tych wspaniałych epopei, w których jest jedną z najgłówniejszych osób, które jego nieszczęścia opramieniają sławą i nadzwyczajnym urokiem poezji.

KAZIMIERZ WODZICKI:

## CHYBIONE STRZAŁY.

Pamiętam zimę z grubą skorupą lodowatego śniegu, którą zwierzę racicami z trudnością przebijał, to też gdy był w ruchu, słycać było o kilkaset kroków chrupotanie. Dziki miały zakrwawione nogi i ze skóry obdarte do wysokości kolan, istne męczenniki tej srogiej zimy. Prześladowany, musiał każdy z nich ginąć, przed psami uciekać nie mogły, i sobaki przytrzymywały każdego. Stanąwszy na dosyć jasnym olchowym zrebie, słyseć łomot przez długi czas podobny do tego, jaki bydlę wytwarza, krocząc po lodowatym śniegu. Niebawem przedstawia mi się pojedynek wielkich rozmiarów o dziesięć kroków, podnosi ryło, wietrzy i mnie nie widzi. Składam się, mierzę w prawe oko, strzelam i słyseć oddalającego się zwierza. Tfu! splunąłem, wykrzyknąwszy: to istne czary! Zmówiłem modlitwę do św. Huberta i poszedłem do domu, jak zmyty. Dziś jeszcze widzę to oko, patrzące na mnie bezmyślnie. Chybione strzały wypuszczam, krew nie woda, a nerwy nie postronki, często niespodzianka, gorączkowy ruch powoduje chybiecie; lecz są zdarzenia w życiu myśliwskim, których nikt nie wyjaśni, rzeczywiście niepojęte i zagadkowe. Można wierzyć lub nie wierzyć, lecz tajemniczości przeczyć nie możemy.

W górach u nas to inny zwierzę, niż żyjące na płaszczynie, niekiedy olbrzymich rozmiarów, wytrwały, silny i odważny. Owóz taki rogacz na mnie wybiega, staje, ciało chowa za jodłę, a nadstawia mi kark i głowę o kilka sążni odległości. Przypominał jelenia św. Huberta, brakowało jedynie krzyża między rogami. Mierzę dokładnie—i tyle go widziałem.

Pod jesień pojechałem z pieskami w góry. Zimno nam srogo dokuczalo, umieściliśmy się w kolibie, oddalonej od lasu, poczęliśmy palić plot, kawałek po kawałku, i nareszcie spaliliśmy całe ogrodzenie. Dobrze i ciepło nam było przez całą noc, lecz sroga kara nas spotkała, gdy nad ranem gazda nadszedł i zobaczył wyrażoną dezolację. Był też to język wyjątkowy, pysk, w piekle wykrojony, co było dyabelskich wyrazów, on się ich nauczył i nas nimi częstował, a w końcu nas i psy nasze zaklął. Ani słowa słodziutki, ani ofiara pieniędzy, ani nawet ofiarowany tytuń, ta największa pokusa dla górali, nic tego rozszalałego gniewu rozbroić nie mogło. Nie pozostawało nam zatem, jak śpiesznie się wynosić, zabierając, co było nasze. I co pan powiesz, na doskonałym polu, przy obfitości sarn, psy nie chciały szukać, lażyły po lesie, jak strute, ani podkładanie, ani trąbienie ochoty im nie dodawało, i w ten sposób przebyłem trzy dni, nie słysząc ani razu jednego gonu psów. Przywiozłem psy do domu, a po kilku dniach odpoczynku sobaczki moje gonity doskonale. Cóż pan na to powie? To nienaturalne sprawy...

Jadąc raz wózkem, spostrzegłem na stawie 12 do 15 pływających gęsi, z gatunku tych wielkich szarek.



Żubry na swobodzie.

Dla strzału nieco za daleko siedzieli, lecz, podszedszy trzciną kilkanaście kroków, można było kilka trzepnąć, a taka gratka nieczęsto się zdarza. Pomimo zimna i liżącego wiatru, wchodzę do lodowatej wody po kolana, dalej po brzuszku, już mi za głęboko, zębami głośno dzwonię i myślę, że źle ze mną będzie, a gdym się wychylił poza trzcinę, widzę wszystkie w kupce, jak dla mnie ustawione. Celuję do główek i pewny jestem, że ani jedna nie uleci, bo miałem zajęczak w łufach. Mierzę, strzelam do siedzących w odległości kilkunastu kroków, gęsi wszystkie się zrywają; strzelam drugi raz w lot w tę zwartą kupę—i ani jedna nie spada, nawet piórka nie zostawia. Okiem śledzę gęsi na horyzoncie, uchem słyseć wesołe geganie, więc wszystkie bez szwanku odleciały. Dzięki Bogu, żem tej kąpieli nie odchorował i życiem nie przypłacił.

Inne zdarzenie, narażające mnie na niepospolite niebezpieczeństwo. Mróz był siarczysty, powietrze iskrami napełnione, blask taki, że się zdawało, iż dwa słońca świecą, światło, rażące oczy, wzrok przyćmiony, a oczy pełne łez. Fatalna konjunktura dla myśliwego, a do tego wcisnął się był odyniec w czarne łozy, zaplecione dzikim chmielem, więc z żadnej strony nie można było do niego przystąpić. Po długiej walce wyparły go nareszcie psy na porąb, na którym pozostała się jedna brzoza, za którą stałem. Psy szarpały odyńca, a Kasper za tylną nogę swoim zwyczajem trzyma. Drzewo mnie niedostatecznie kryło, więc rozwścieklony pojedynek sadzi obces na mnie. Ciągnę za cyniel, nie spuszcza kurków, ciągnę za drugi—to samo się dzieje, a tu dzik pod nogami. Ledwie się wygiąłem,



jak z gutaperki ulany, a już mnie potwór tnie kłęb szczęśliwie, bo przeciął jedynie kozuch i spodnie, nie zostawiając śladu na mej skórze. Włosy czapkę podniosły, krew mi do głowy uderzyła, i poty mnie oblały, lecz mi psów żal, przekonany, że im się odynieć da we znaki. Podskakuję kilka kroków i chcę puścić moje sztopy, lecz znowu kurki odmówiły posłuszeństwa. Ot, znowu tajemnica. Psy osaczały kilka razy zwierza, sądząc po głosie. Grześ się gdzieś podział, mnie poczęła febra trząść, z wysileniem dobiełem do domu i rzuciłem się na siennik, dzwoniąc zębami. Żadna pościel i kozuchy ogrzać mnie nie mogły. Po tej lodowatej godzinie poty na całe ciało wystąpiły. Przeleżałem jeszcze chwilę, wstałem i oczywiście poszedłem do mojej zepsutej w zamkach strzelby, ale — o, dziwo — obydwie cyngle doskonale spuszczały. Zagraj i Kasper, zniechęcone brakiem pomocy i opieki, porzuciły dzika i przybiegły koło północy do domu, nieszczęśliwy zaś Łoskot przywlokł się nad ranem z rozplatanym brzuchem, któryśmy musieli zaszywać i zalewać. Że to był urok, to mi w myśli i dziś jeszcze stoi, lecz, kto go rzucił, tego dociec nie mogę, i ten odynieć mi się wydaje zaczarowanym. A że w tym rewirze dożyłem kilku wypadków nieprzyjemnych, już w nim polować nie chciałem.

szą rozłąkę. A i w dzień nie każdemu też przychyła niebo szczęścia.

Ale jakież to dziwny głos zabrzmiał? Co za osobliwsza kantata kniei? Niby świnięcie rozległo się po boru. Może to bóstwo lasów wdzięczy się na powitanie młodego słońca? Cyt!... Coś jakby dudni, słychać: „Czczcz-jo! I zaraz potem: „Rrrr-tuu-ruu-urr!... Rrrrutuu-tuu-urr! To cietrzew, przepyszny ptak, wygrywa i odprawia swoje miłosne tany! Cietrzew, wspaniała ozdoba lasów. Czarny na szyi i głowie, lśni się świetnością, nad oczyma nosi brwi purpurowe, w skrzydła ma wprawioną jakby przepaskę białą, a jego rozpięty wachlarz ogona obwiedziony



Powrót z polowania na Polesiu.



Na kaczki (p. St. Brun).

ADOLF DYGASIŃSKI:

## ŻYCIE LASU.

Było to w maju, wiosna napełniała powietrze balsamiczną wonią pękających drzew. Słońce nie weszło jeszcze, tylko purpura jutrenki szeroko zalała niebo; pod obłokami skowronki rzewnym głosem wyciągały już swoje jakby nabożne pieśni; w kniei rozlegały się w gąszczach śpiewy kosów, niby ludzkie wygwizdywania. Trzęsie się bór czarodziejskim gwarem, a urok takiego poranku nie da się piórem opisać. Któżby powątpiewał, że ta muzyka, te rozgłosy szczęścia jedynie uczuciom miłości towarzyszyć mogą? Tylko potężne uczucie zdoła wyrwać z głębi istot żywych hymny wesela, tęsknoty i uwielbienia. Tam oto w gęstwinie, na suchym sęczku, z opuszczonymi skrzydłami, z nieco zadartym ku górze ogonem, jakby z zachwyconymi oczyma, przysiadł złotodzioby kos; świecą się jego czarne pióra, a melancholijne, tęskne gwizdanie daleko w las leci. Zaskoczona przez dzienne brzaski, niby wieszczka puszczaj, poważna, od stóp do głowy napuszona, tuż przy czarnej dziupli zasiadła znów sowa; światło ją razi, odurza, więc dlatego widać spogląda jakoś uroczyście, czasami głową kiwnie, okiem mrugnie, czasami ostrożnie posunie się na gałęzi, szukając głębszego cienia. A w górnych piętrach konarów, pod baldachimem miękkich wieńców, syjących się gęsto z odrodzonego na wiosnę świerku, zatrzepotała skrzydłami para ze snu ockniętych turkawek; przelatują z gałęzi na gałąź, migają białe pióra ich ogonów, a one głosem się wabiają, nawołując: „krrrru, krrrr!” I wszędzie słychać tęskne odgłosy przyzwania. Nie dziw, bo przygody nocne bywają tu tak straszne, iż wczora jeszcze szczęśliwi narzeczeni lub nowożeńcy nazajutrz o świcie gorzko oplakiwać mu-

złok cietrzewia, powąchał je, jak oprawca, na śmierć zobojętniały, potem ujął silnie zębami i powlokł w krzaki. Na krótką chwilę cisza zapanowała w całej okolicy: sfrunęły w trwodze turkawki, umilkło gwizdanie kosów, ustały głosy miłości i tęsknoty, sowa schowała się do dziupli.

Ale krótką musi być żałoba śmierci tam, gdzie śmierć nieustannie gości. Żywi żyć przecież muszą, a jak tnąć życie bez kochania? Więc znów zagrzemiały radosne pieśni, i przy nich olbrzymie oko słońca z pałającym żarem w źrenicy spojrzało na ziemię.

## Z notatnika myśliwskiego.

URYWEK.

Spokojne na pozór polowanie z puhačem, dostarcza jednak myśliwemu wcale niepospolitych, a częstokroć prawdziwie silnych wrażeń. Ileż to razy błyskawicą zapalił się oko, a krew w żyłach zakipi, gdy się gdzieś zdala ozwie przeciągły pisk zbliżającego się drapieżnika.

Było to w pierwszych dniach października w porze przelotów ptactwa drapieżnego. Zasiadłszy w budce, słomą krytej i do stogu przypartej, wpatrzona w puhača, naprzeciw mnie umieszczonego, śledziłam niecierpliwie wyraz ruchliwej jego fizyonomii, wyczekując, rychło się co na horyzoncie pojawi. Zazwyczaj puhač mój nagłym, nerwowym ruchem głowy zaznaczał, z której strony drapieżnika spodziewać się należy. Przy zbliżaniu się nieprzyjaciela, zeskoczywszy z palika na ziemię, raz po raz ukrywał łeb między skrzydłami, wydając przytem dziobem suchy trzask i kłaskanie. Wówczas to do śmigającego nad nim jastrzębia dawało

jest w samym środku rąbkiem śnieżnej białości. Przypadł do ziemi, otulił ją skrzydłami, rozpostarł ogon, wyciągnął szyję; lubieżnie zmruża niekiedy oczy, pełne jakiegoś płomiennego niepokoju, kręci się a zwija i przyśpiewuje sobie pieśń na połę miłosną, na połę wojenną.

Wtem niespodziewanie wypadł zdradziecki strzał, cietrzew podskoczył, wzniósł się nieco na skrzydłach i padł na ziemię, po której dopiero co pisał; teraz trzepnął skrzydłem, drgnął szyją, grzebnał kilka razy nogami. Rozlana krew ptaka poczęła broczyć po młodej, zielonej trawie.

Z głębi krzewiny wysunął się pies na krótkich nogach, szedł z wystawionym naprzód nosem, wietrzył; wnet dotarł do

się strzał, mniej lub więcej pomyślnym rezultatem uwieczony. W dniu jednak, o którym wspominał, puhač mój w zupełnie odmienny sposób niepokój swój objawił. W ruchach jego była jakaś rozpaczliwa determinacja; najniespodziewaniej bowiem runął z palika na ziemię, szarpiąc i wyrwijąc z zaciekłością całe kępy zielska, wokół rosnącego. Nie poprzestawszy na tem, po chwili na wznak się położył i, potężne swe szpony kurcząc i prężąc, zadawał niemi w powietrzu ciosy niewidzialnemu jakiemuś wrogowi.

Zrozumieć wprost nie mogłam przyczyny tak niezwykłego przerażenia, gdy nagle usłyszałam dwukrotnie, złowrogie „uhu”, wyrwijące się z piersi puhača. W tej chwili zakolysało się nad nim coś potężnego, co na przestrzeni kilku metrów cień, jak od chmury, rzuciło. Był to olbrzymich rozmiarów sęp królewski z wspaniałym śnieżnym puchem, okalającym długą gołą szyję.

W oczach mi pociemniało, pulsa, jak młotem, w skroniach waliły. Strzeliłam raz i drugi, ale, niestety, nie przygotowana na pojawienie się tak niezwykłej u nas zwierzyny 28-ym kalibrem broni, a 8 Nr śrótu niewiele zdziałać mogłam.

Po strzałach posypał się puch obficie, ale cudny ptak, na chwilę lot swój zniżywszy, popłynął dalej w świat. W kilka dni później dowiedziałam się, że go w pobliskiej puszczy Kampinowskiej dobito.

MARYA EJSMONDOWA.

## BEKERÓWKA.

Z ŁOWIECKICH WSPOMNIENI.

Szara godzina... szary łąn...  
Świat cały, jak tęsknica...  
Spogląda ku mnie z pustych ścian  
Ostatni sprzęt szlachcica!  
Zimowy wicher polem dmie,  
Lśni szronem podorówka...  
Spogląda smutnie w oczy me  
Po ojcach... „Bekerówka”.  
Spogląda ku mnie poprzez mrok  
Wylotem w dół alkowy,  
Jakby się chciała zerwać z trok  
I ruszyć do... dąbrowy!  
Spogląda smutnie w pustce tej,  
By jakaś masa blada...  
I byłe dzieje dawnych kniej  
W pamięci przepowiada.  
Złobionem łozem ruszył wiew!...  
Zwiedziony zamek dzwoni...  
W wieczornej ciszy slysze: śpiew,  
Huk strzałów! tętent koni!  
Widzę... polanka... Strzelców sznur...  
Ognisko w kłębach rośnie...  
Rozlega echem cały bór!  
Powtarza sosna sośnie...  
Za borem roli szary łąn  
I biały dwór prześwieca...

Spogląda ku mnie z pustych ścian  
Ostatni sprzęt szlachcica!

EL.





Wyprawa na gluszcę.



Powrót z wyprawy.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

## CHŁOPI. LATO.

50

I przyszła wkrótce tak wystrojona, że Jasio aż się zdumiał.

— Cóż to, idziecie na wesele?

— A może przyszliście do was z wódką? — zapiszczała któraś z dziewczyn.

— Zaśby ta kto śmiał, dyćbym go przepędziła na cztery wiatry! — ośmiała się, krąszcząc, kieby róża, że to wszyscy na nią patrzeli.

Stara zapędziła ją zaraz do prasowania, poleciały za nią organiścianki wraz z Jasiem, i tak się im wkrótce zrobiło wesoło, tak gruchali śmiechem z bele głupstwa i wrzeszczeli, jaże organiściana musiała przykarcać:

— Cichocie, sroki! Jasiu, idź lepiej do ogrodu, nie wypada ci tu suszyć zębów.

To rad nierad wziął książkę i powłókł się, jak zwykle, w pole, i tam kajś daleko za wsią, na miedzach, pod gruszami, na granicznych kopcach, przesiadywał, zagłębiając w czytaniu, albo jeno se medytujący.

Ale Jagusia dobrze już znała te samotne schroniska, dobrze wiedziała, kaj go szukać utęsknionemi oczami, kaj się nieść do niego choćby jeno tą myślą radosną; krążyła bowiem kole niego, kieby ten motyl w kręgu światła, i krążyć musiała, parło ją za nim niepowstrzymanie i wlekło tak nieprzeparcie, że się już dała bez pamięci na wolę tej jakiejś lubej mocy, dała się jakby wodom spienionym, co ją ponosiły w jakoweś wyśnione światy szczęśliwości, dała się wszystką duszą i sercem, ani nawet myśląc, na jaki brzeg ją wyniesą, ni na jaką dolę.

I czy się późną nocą kładła do snu, czy się rankiem zrywała z pościeli, to zawdy jednym pacierzem dygotało jej serce:

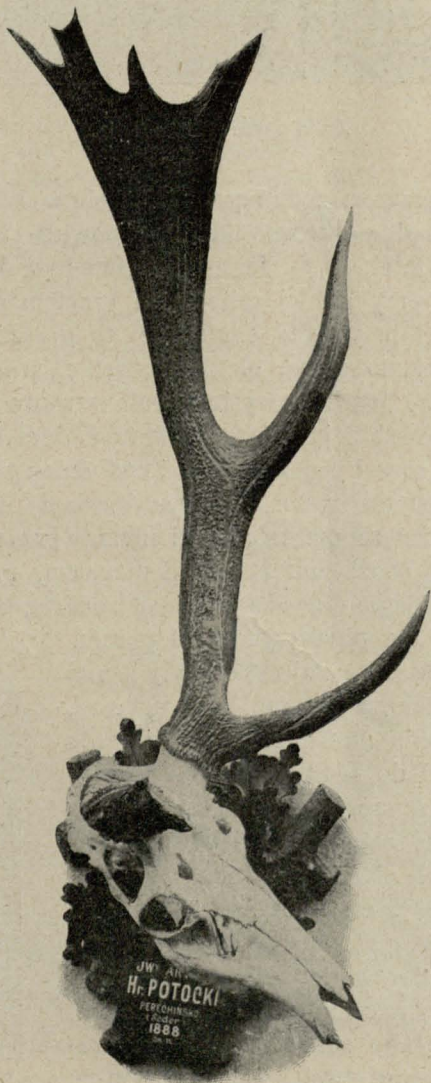
— Obaczę go znowu! obaczę!

A nieraz, kiedy klęczała przed ołtarzem, i ksiądz wyszedł ze mszą, i zagrały przejmującą nutą organy, i wionęły kadzielne dymy, i roztrzęsły się gorące szepty pacierzy, i kiedy zapatrzyła się rozmodlonemi oczami w Jasia, któren, biało przybrany, smukły, śliczny, ze złożonemi rękami snuł się w tych

dymach i kolorach, jakie były z okien, to się jej widziało, co żywy janiół zestąpił z obrazu i oto płynie ku niej ze słodkim prześmichem... idzie... że raje otwierały się w jej duszy, padała na twarz, w proch, przywierając wargami do miejsc, kaj przeszły jego stopy, i, porwana zachwyceniem, śpiewała wszystką mocą człowieczej szczęśliwości:

— Święty! Święty! Święty!

A nieraz i msza się skończyła, i ludzie się porozchodzili, i Jambroz już w pustym



Osobliwy okaz rogu jeleniego.

kościelie przedzwaniał kluczami, a ona jeszcze klęczała, zapatrzona w puste po Jasiu miejsce, rozmodlona przenajświętszą cichością upojenia, tą radością, nabrzmiałą do bólu, temi jeno łzami, co jej same spływały z oczów, kiej ziarna pełne, ważkie i przeczyste.

Że już dnie były dla niej, jako te ciągłe święta, jako te uroczyste odpusty w nieustannej radości nabożeństwa, jakie się ciągiem odprawiało w jej duszy, bo, kiedy wyjrzała w pole, to dzwoniły jej tem samym dojrzałe kłosa, dzwoniła spieczona ziemia, dzwoniły sady, przygięte pod ciężarem owoców, dzwoniły bory dalekie, i te wędrujące chmury, i ta przenajświętsza hostya słońca, wyniesiona nad światem, a wszystko śpiewało wraz z jej duszą jeden niebosiężny hymn dziękczynienia i radości:

— Święty! Święty! Święty!

Hej, jaki to świat śliczny, kiej się nań patrzeć rozmiłowane oczy!

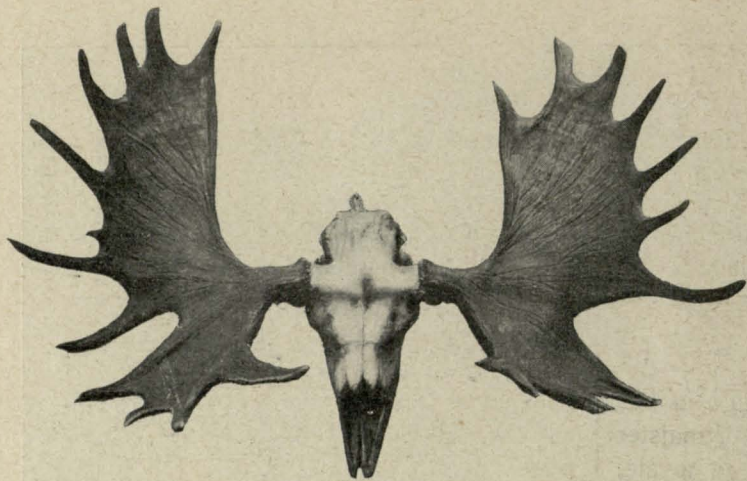
A jaki to człowiek mocen w onej świętej godzinie! Z Bogiemby się zmagał, śmierciby się nie dał, nawet doliby się przeciw. Życie mu jednym weselem, a bratem choćby i ten stwór najmarniejszy! Przed każdym dniemby klękał w podzięcie, każdej nocyby błogosławił i na każdym miejscu wszystekby się rozdawał między bliźnie, a bogaczem ostaje, a ciągiem mu jeszcze przybywa mocy, kochania i dni barzej cudnych.

Światami dusza się jego nosi, górnice, we gwiazdy patrzy zbliżka, nieba zuchwale sięga, o wiecznej sni szczęśliwości, bo się jej widzi, że niema już kresu ni zapory la jej mocy i kochania.

Tak się to i Jagusi widziało w tę porę miłowania.

Dnie szły zwyczajne, dnie znojných przygotowań do żniw, a ona uwijała się przy robotach, rozśpiewana, niby skowronek, niestrudzenie radosna i weselnie rozkwitła, kieby ta róża w jej ogródku, kieby te malwy, smukła i, kieby ten kwiat na Bożym zagonie, najsil-





Olbrzymie rogi łosie.

niejsza i tak ciągnąca oczy, tak wabiąca jarzącymi ślepiami, tak ciągiem roześmiana, że nawet starzy chodzili za nią oczami, zaś parobcy zaczęli się znowu kole niej kręcić i wzdychający wystawać pod jej chałupą, ale odprawiała każdego.

— Żebyś nawet wrosnął w ziemię, to i tak niczego nie wystoisz—szydziła.

— Z kuźdego się już prześmiewał A harna, kieby dziedziczka!—skarżyli się przy Mateuszu, który jeno westchnął żałośnie, gdyż nawet on tyła jeno wskórał, co mógł niekaj o zmierzchu pogadywać z Dominikową, a patrzeć za Jagusią, zwijającą się po izbie, i słuchać jej prześpiewek. Patrzył też i nasłuchiwał tak gorąco, że odchodził coraz chmurniejszy i coraz częściej zaglądał do karczmy, a potem w chałupie wyprawiał różne brewerye. Juści, co już najbarzej dostawało się Teresce, że już chodziła ledwie żywa ze zgryzoty, to też, spotkawszy kiedyś Jagusią, odwróciła się od niej plecami i splunęła.

Ale Jagusia, zapatrzona kajś przed się, przeszła, nawet jej nie widząc.

Tereska rozgniewana zwróciła się do dzieuch, pierających nad stawem.

— Widziałyście, jak się to pawi! A to przejdzie i ani już spojry na kogo.

— A wystrojona, jakby na odpust.

— Jakże, do samego południa przesiaduje przy czesaniu.

— I ciągiem se kupuje wstęgi a stroiki! —dogadywały zawistnie, bo znów od jakiegoś czasu, niech się jeno pokazała na wsi, chodziły za nią babie spojrzenia ostre, kieby pazury, i jadowite, kieby żmije. Brały ją też na ozory przy leda sposobności, a nicowały, że niech Bóg broni, nie mogły jej bowiem darować, że się stroiła, jak żadna, i że była ponad wszystkie urodniejsza, żeby już nie spominać, co wyprawiała z chłopami.

— Wynosi się nad drugie, jaże trudno ścierpieć!

— I przystraja się, kieby dziedziczka, i skąd to na to bierze!

— Cie, a za cóż to wójt ma u niej łaski?

— Powiadają, jako i Antek nie skąpi—przepowiadały se na ucho gospodynie, zebrawszy się w opłotkach Płoszkowej.

— Antek dba tyła o nią, co pies o piątą nogę—wtrąciła Jagustynka—tam jest w przygodzie ktoś drugi!—zaśmiała się tak domyślnie, że jęły ją molestować na wszyst-

kie świętości, ale się nie wygadała, jeno im w końcu rzekła:

— Ja to plotów nie roznoszę. Macie oczy, to wypatrzcie same.

Jakoż od tej chwili sto par ślepiów jeszcze zacieklej poszło na prześpiegi trop w trop za Jagusią, kieby te gończe za zajączkiem.

Ale Jagusia, chociaż na każdym kroku spotykała te przyczajone, stróżujące ślepie, nie domyślała się niczego, co ją tam zresztą obchodziło, kieby mogła w każdej porze obaczyć Jasia

i topić się w jego oczach na śmierć.

Na organistówkę zaglądała prawie już co dnia i zawdy w takim czasie, gdy Jasio był w domu, że nieraz, kieby zasiadał zblizka i kieby poczuła na sobie jego spojrzenie, to dziw nie omdlewała z lubości, oblewał ją war, nogi się trzęsły i serce łomotało, kieby młotem, zaś indziej, gdy w drugim pokoju nauczał siostry, to jaże dech przytajała, zaś słuchana w jego głosie, niby w tem słodkiem dzwonieniu, aż organiścina spostrzegła:

— Co tak pilnie nasłuchujecie?

— Bo pan Jasio tak prawi nauczenie, że niczego nie poredzę wyrozumieć!

— Chcielibyście!—zaśmiała się pobłażliwie.—A bo to w małych szkołach się uczy



Zjazd myśliwych w lesie.

—przyczuciła z dumą, wdając się w szeroką pogawędkę o synu, lubiła ją bowiem i rada zapraszała, że to Jagusia chętna była do pomocy przy każdej robocie, a przytem często gęsto i przynosiła coniebaż: to gruszek, to jagódek, to nawet niekiedy i oselkę świeżego masła. Jagusia wysłuchiwała zawdy tych opowiadań z jednaką żarliwością, lecz skoro Jasio ruszył się z domu, i ona śpieszyła się niby to do matki; strasznie bowiem lubiła naglądać za nim zdaleka i nieraz, przyczajona we zbożu lub za jakimś drzewem, patrzyła w niego długo i z taką tkliwością, że nie mogła się powstrzymać od płaczu.

Ale już najmilsze były la niej te krótkie, nagrzane, jasne noce, że, kieby jeno matka zasnęła, wynosiła pościel do sadu i, leżąc na wznak, zapatrzona w niebo, migocące przez gałęzie, zapadała w jakieś przenajśłodsze niezmierzoności marzenia. Upalne wiewy nocy muskały ją po twarzy, gwiazdy zaglądały w oczy, szeroko otwarte, nabrane zapachami głosy ciemnic, głosy pełne niepokojącego żaru i lubości, zadyszane szeptu liści, senne, urywane szmery stworzeń, jakby stłumione

westchnienia, jakby wołania, idące kajś z pod ziemi, jakby chichoty strwożone, lały się w nią dziwną muzyką i przejmowały warem, dygotem, zapierały dech i przeżyły w takich ciągotkach, że staczała się na chłodne, oroszone trawy, padając ciężko, jak owoc dostały... i leżała bezwładnie, wezbrana jakąś świętą, rodną mocą, niby te pola dojrzewające, niby te gałęzie owocem ciężarne, niby ten łąn żrącej pszenicy, gotów się dać sierpom, ptakom czy wichrom, bo już na każdą dolę zarówno tęsknie czekający.

Takie to miała Jagusia te krótkie, nagrzane, jasne noce, i takie to te skwarne, rozprażone dnie lipcowe, że mijały, kieby sen słodki, ciągiem pragniony.

Chodziła też, jak we śnie, ledwie już miarkując, kiedy był dzień, a kiedy noc.

Dominikowa czuła, że się z nią wyrabia cosik dziwnego, ale nie mogła wyrozumieć, więc tylko się radowała jej niespodzianej i żarliwej pobożności.

— Powiem ci, Jaguś, że, kto z Bogiem, z tym Bóg!—powtarzała z dobrością.

Jagusia jeno się uśmiechała, pełna cichej, pokornej szczęśliwości a czekania.

I któregoś dnia całkiem niechcący natknęła się na Jasia, siedział pod kopcem granicznym z książką w ręku, nie mogła się już cofnąć i stanęła przed nim, okryta rumieńcem i mocno zesromana.

— Cóż wy tu robicie?

Jąkała się strwożona, czy aby się czego nie domyśla.

— Siadajcie, widzę, żeście się zmęczyli.

Wagowała się, nie wiedząc, co począć, pociągnął ją za rękę, że przysiadła pobok, śpiesznie chowając boscie nogi pod wełniak.

Ale i Jasio był zmieszany, rozglądał się jakoś bezradnie dokoła.

Pusto było na polach, lipeckie dachy i sady wynosiły się ze zbóż, jakoby wyspy dalekie, wiaterek żdziebko przegarniał kłosami, pachniało rozgrzaną macierzanką i żytem, jakiś ptak przeleciał nad nimi.

— Strasznie dzisiaj gorąco! —zauważył, aby jeno zacząć.

— I wczoraj przypiekało niezgorzej! —chycił ją za gardziel jakiś radosny lęk, że ledwie mogła przemówić.

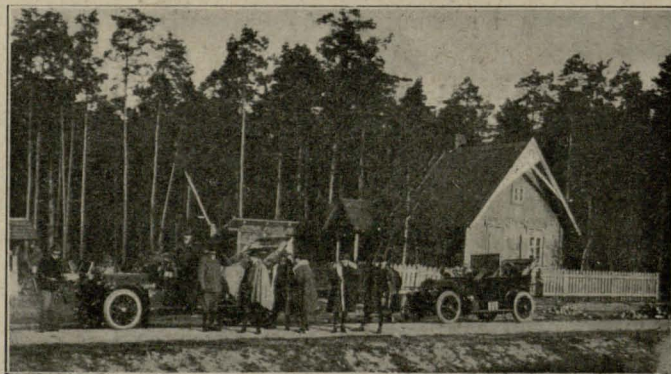
— Lada dzień zaczną się żniwa.

— Pewnie... juści... — przytwardzała, wlepiając w niego ciężkie oczy.

Uśmiechnął się i spróbował mówić swobodnie, prawie żartem:

— Jagusia to codziennie ładniejsza...

(DCN)



Polowanie nowoczesne.





GRUPA „KOŁA SPORTOWEGO” W WARSZAWIE. Fot. J. Golcz.

Rząd I-szy od lewej strony: J. Zarembki, J. Sztolcman, S. Lilpop, Z. hr. Plater, A. S. hr. Potocki, M. hr. Zamoyski, E. Chłapowski.  
Rząd II od lewej strony: P. Wodzyński, E. Berson, M. Tabęcki, E. hr. Plater, L. Dziegielewski, H. hr. Plater, J. hr. Plater, P. Kozicki, J. Głuski, H. Zandbang.

## LASY.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

„Najpocziwsze z drzew naszych borów, puszc i kniei,  
Nawet zimą zielone, jak symbol nadziei!  
Przydatne Bogu na krzyż i ludziom na chatę,  
Drzewa moje najdroższe! sosny rosochate!  
Coście tyle pokoleń na swoich biegunach  
Wykołosały—tyle przygarneły w trunach...  
Pocziwie! od tej pierwszej prabarci Piastowej,  
Pod którą rój pszczół lepił swój plaster miodowy!  
Aż do tej, co ostatnia stoi na trzebieży  
Z obrazkiem, owianym szeptami pacierzy,  
Wy najmilsze w trosce, w tęsknicy, zadumie,  
Mające pieśń krzepiącą w igliwia poszumie—  
Chojny moje rodzinne! i dziś, kiedy czoła  
Czepia się ból, jak waszych konarów jemiola,  
Gdy na radość się niema w żadnym naszym domu,  
Bo ani się czem cieszyć, ni radować komu...  
I dziś, pocziwie sosny, jakby wasze echo  
Płynie do mnie otuchą, przemawia pociechą  
I niesie myśli smutne nad Nidy łożysko  
Do sióstr waszych, co nad mą szumiąły kołyską—  
I daje... marzyć\*...  
Marzmy więc...  
Mogę być sprawiedliwie dumny, bo, gdyby nie  
to moje na tem miejscu pisanie, nie byłoby numeru ło-  
wieckiego *Tygodnika*. Bo gdzieżby całe grono dziel-

nych myśliwych zaprowadzić, gdyby was nie stało,  
lasy ojczyste! Juścić i w polu z fuzijką można, ale...

Bez lasów wielkich łowów wprost nie pojąć! je-  
szcze nam, cośmy tyle wspomnień w gąszczach leśnych  
przed nie pożądanem okiem kryć musieli.

Hej lasy szumiące! bory! kto was nie pytał!  
kto z wami nie gadał!

I myśliwy w ostępie, i „błahy strzelec, uchodzący  
szyderstw towarzyszy”, i szlachcic, śpieszący w krytycz-  
nej chwili po praktyczną radę do „stryja”, i chłopek,  
na pustoci leśnej o nowej chacie zadumany, i ten dro-  
biazg polski, przy choinowem drzewku „Bóg się rodzi”  
śpiewający... Wszyscy!

Hej lasy szumiące! bory! bo i wy umiecie mówić,  
umiecie śpiewać każdemu!

Leci od Kampinoskiej wiatr i niesie...

Powiał od Małogoskich borów—niesie...

Zawadził o Podzameckie gaje—niesie...

Otarł się o brzożki w bałym rabacie—niesie...

O podszywkę sosnową—niesie...

Niesie i niesie!

Hej... hej!

„Lasy moje ojczyste, ileż was pożera... nie-  
miecka siekiera”, śpiewał już największy z wieszczów.

Ale nie mąjemy sobie marzeń smutkiem. Dziś  
zresztą lepiej. Po rabunkowych trzebieżach, po bez-  
myślnych karczowiskach leśnych przestrzeni przyszło,  
choć późno, opamiętanie.

Zakrzętały się najpierw duże latifundye o pra-  
widłową gospodarkę leśną, zaczęto zalesiać pustkowie  
i wydmy, zaczęto korzystać z bogactw leśnych umie-  
jętniej. Dziś spotkać się z piękną „kulturą”, z bujnym  
zagajnikiem nie jest już rzadkością. Po lasach Potoc-  
kich, Zamojskich, Branickich, Sobańskich, Lubomirskich  
przyszła kolej na mniejsze przestrzenie. Kogo nie stać  
było na umiejętną gospodarkę w pojedynkę, związał  
się z sąsiadem. Wykształcił się cały zastęp biegłych  
krajowych leśników. Potworzono „spółki leśne” zarów-  
no handlowe, jak gospodarcze. Najpierwsze historyczne  
imiona nie zawahały się stanąć na ich czele w obronie lasów  
krajowych. Więc i swego czasu śpiewak nie obwini.

Hej lasy szumiące! bory! Czemże i jak pieśń  
o was skończyć? jaką wziąć jeszcze nutę? serdecznie!



Powrót z polowania. Od strony lewej ku prawej: H. Sienkiewicz,  
W. Paszkowski, P. Budkiewicz, dr H. Dziedzicki, Słonczyński,  
B. Wysocki.

Oto zbliża się wigilijny wieczór. Choinka... Ma-  
ły borek polskich dzieci... Hej!

Choinka... Kolendowy wtór,

Za echem leci echo!

Grudniowa nocka gwiazdek sznur

Rozpala ponad strzechą...

Śpiewają chaty, biały dwór...

Ponowa polem prószy ..

Choinka... kolendowy wtór...

Kościółek w leśnej głuszy!

Choinka! kolendowy wtór...

Okiścią szemrzą drzewa...

W kościelnych progach żywy sznur

Chorałem pieśń rozlewa...

Wtóruje ludziom stary bór,

Zieloną pierś rozdyma...

Choinka... kolendowy wtór...

Lud... gwiazdy... pieśni... zima!

Do siego roku! Wsi moja!

KAZIMIERZ LASKOWSKI.



Władysław Rabski.



Józef Weysenhoff.



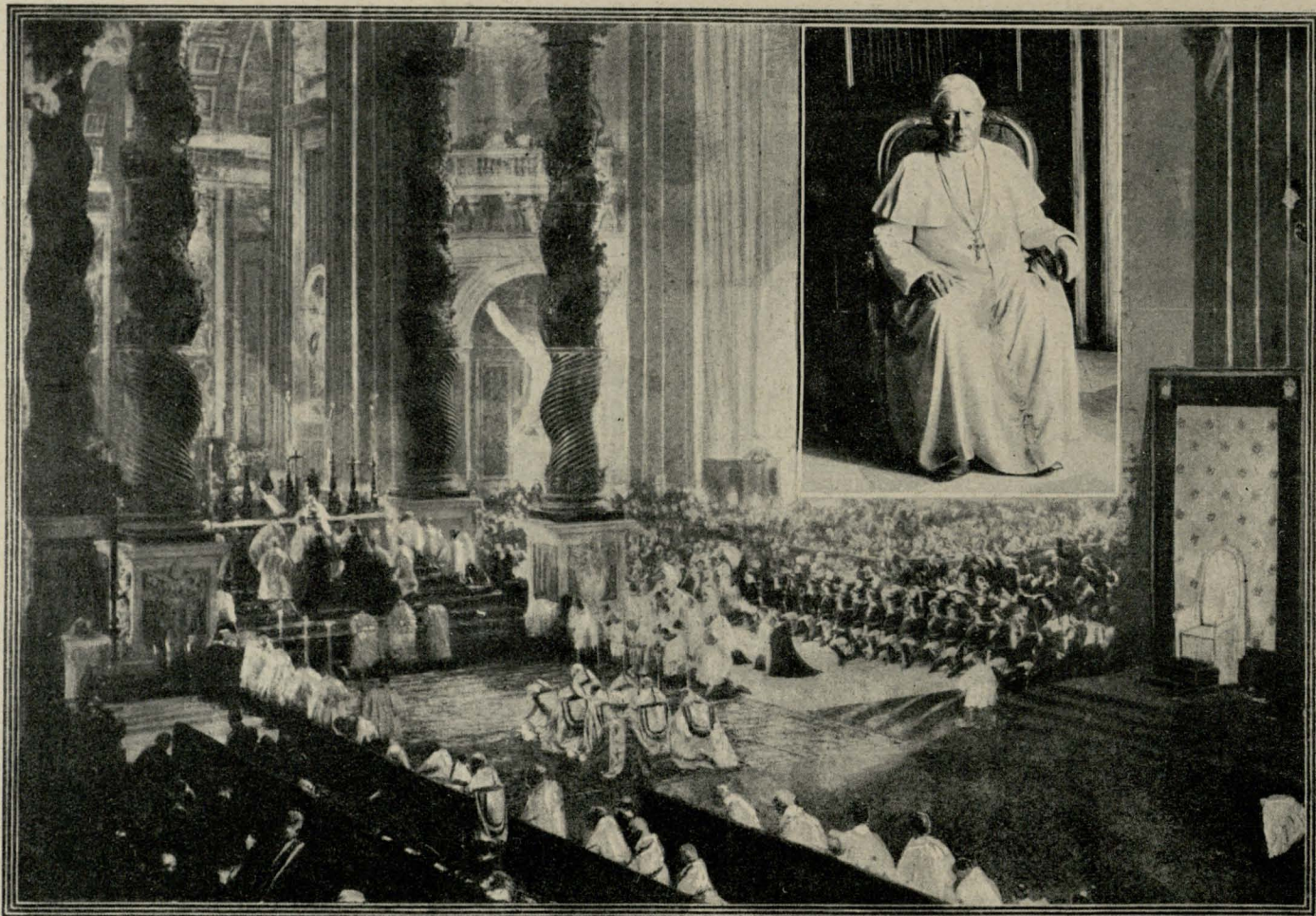
Franciszek Ejsmond.



Mieczysław Frenkiel.

Czterech myśliwych, czterech współpracowników naszych, poeta, publicysta, artysta-malarz, artysta-dramatyczny. Na łowach nie byliśmy z nimi, ale wiemy, że każdy z nich upolował już w zawodzie swoim rzecz najważniejszą: zasłużoną sławę.





WIELKA MSZA, ODPRAWIONA PRZEZ PAPIEŻA PIUSA X-go, I OSTATNI PORTRET JEGO ŚWIĘTOBLIWOŚCI.

## Jubileusz kapłaństwa Piusa X.

Pół wieku temu, dnia 18 września 1858 r., otrzymał święcenia kapłańskie dwudziesto-trzyletni wychowaniec seminarium paduańskiego, Józef Sarto, rodem z gminy Riese.

Ów skromny ksiądz, najstarszy z licznej, a ubożej rodziny wieśniaczej, który na bosaka biegał do szkółki wiejskiej, a potem do odległego o 7 kilometrów kolegium w Castelfranco Veneto, który od trzynastego roku życia sam zarabiał na swe utrzymanie i studia, a po śmierci ojca o mało co nie wrócił do rodzinnej zagrody, aby pomagać matce, zasiada obecnie na Stolicy Apostoskiej, jako 258-y z kolei następcą św. Piotra i Głowa kościoła katolickiego.

Oczywiście, cały świat katolicki, nad którym w rzeczach wiary rozciąga się władza Namiestnika Chrystusowego, a wpływ jego przenika mnóstwo najdonioślejszych objawów życia społecznego i narodowego, nie omieszkał, ogólnie przyjętym zwyczajem, uczcić tego półwiekowego okresu służby kapłańskiej, uwieńczonej najwyższą w kościele godnością. Na wielki udział rzesz świeckich w tych obchodach, wobec rozwoju idei demokratycznych i uświadomienia klas pracujących, wpłynęła niewątpliwie i ta okoliczność, że papież Pius X jest synem ludu, że nie tylko pojmuje i uznaje całe znaczenie i godność pracy robotniczej, ale zna ją z własnego doświadczenia, że, wstępując na coraz wyższe dostojności, zachował dawną prostotę, a najbliższą i ukochaną rodzinę swoją z tej sfery, do której należała, nie wyprowadzał.

Od wiosny r. b. przybywały do Rzymu pielgrzymki ze wszystkich krajów, delegacje licznych instytucji, stowarzyszeń i związków. Rządy większości państw, członkowie wielu sejmów i kół politycznych, choć nie stojących na gruncie wyznaniowym, złożyły życzenia jubileuszowe. Był to hołd, oddany najwyższemu przedstawicielowi siły moralnej i ideałów chrześcijańskich, które w polityce, niestety, stosują nader rzadko, lecz z którymi, jak uczy historia, bądź co bądź liczyć się muszą.

Wszędzie i zawsze, nawet w hierarchii kościoła katolickiego, przejście od najniższych szczebli do najwyższych bez ułatwień, jakie dają urodzenie, majątek

i stosunki, bywa rzeczą trudną i niecodzienną. Potrzebne tu niezwykle szczęśliwe i harmonijne skojarzenie cnót, rozumu, energii przy niespożytej pracowitości, twórczej umiejętności organizowania i rządzenia ludźmi. Te dary posiada w wysokim stopniu Pius X, a okazywał je stale i skutecznie w miarę rozszerzania zakresu swej działalności, jako proboszcz, kierownik seminarium, biskup Mantui, kardynał-patriarcha Wenecji, na koniec od lat pięciu, jako zwierzchnik całego kościoła.

Obrany Papieżem d. 4 sierpnia 1903 r., Pius X zastał po swym poprzedniku stosunki z rządami państw, z wyjątkiem Francji, mniej więcej ułożone.

Nie odstąpił względem rządu włoskiego od stanowiska, zajętego przez Piusa IX i Leona XIII, gdyż niepodległość polityczna jest nieodzowną gwarancją koniecznej i zupełnej niezależności Głowy kościoła powszechnego, co mu nie przeszkadza miłować gorąco swego narodu. Obecne więc wzmożenie wiary i ożywienie jej duchem rozmaitych objawów życia społecznego narodów katolickich celem podniesienia stanu moralnego, wprowadzenia miłości i zgody, oraz słusznego polepszenia bytu ekonomicznego klas pracujących—jest głównym jego zadaniem.

Uznał też za konieczne położyć kres wątpliwościom, które zwłaszcza w Zachodniej Europie wywoływały pewne kwestie filozoficzno-teologiczne niektórych myślicieli i pisarzy katolickich, w subtelnej i napozór niewinnej formie podkopujące zasadniczo podstawy samej religii. Potępił w Encyklice „*Pascendi Gregis*” te teorie, zwane „modernizmem”, lecz nie mające nic wspólnego z modernistycznymi kierunkami estetycznymi.

Rozpoczął też rewizję i nowy układ prawa kanonicznego, uprościł wiele form proceduralnych, przez dekret „*Ne temere*” ułatwił zawieranie ślubów małżeńskich, a prowadząc dalej nieśmiertelne tradycje i zasługi papieża dla sztuki i kultury, jako miłośnik muzyki—ją głównie otacza opieką, powoławszy do tego o. Perosiego, na którym pierwszy poznał się jeszcze w Mantui.

Naród nasz, którego większość wyznaje religię katolicką, wziął w granicach swego położenia udział w uczczeniu tego półwiekowego jubileuszu Głowy Kościoła. Oprócz kilku pielgrzymek i delegacji z rozmaitych dycepcji udała się do Watykanu deputacja sejmiku galicyjskiego, a posłowie polscy do Dumy i Rady Państwa wysłali adres gratulacyjny. W większych miastach, niezależnie od uroczystości kościelnych, odbyły się obcho-

dy świeckie, złożone z przemówień i odczytów. W Warszawie na obchód ten wybrano dzień 8 grudnia. Dnia tego w kilku salach ogłoszono konferencje dla młodzieży szkolnej, rzemieślników i robotników oraz dla sfer wykształconych. Wieczorem zaś odbyła się w sali Filharmonii tak zwana na wzór rzymski „akademia”, gdzie muzyką i słowem oddano hołd zasługom cywilizacyjnym i kulturalnym Kościoła i jego naczelnego przewodnika.

W ciągu pięciu lat swego panowania Pius X w stosunku do Polaków stanął na gruncie wiekowych tradycji papieża do naszego kraju. Z najbardziej charakterystycznych i wybitnych wspomnę tu tylko Sylwestra II, który przez ustanowienie metropolii gnieźnieńskiej usunął zupełnie duchowieństwo polskie od pośrednictwa hierarchii niemieckiej, Bonifacego VIII, który poparł skutecznie Władysława Łokietka w zjednoczeniu dzielnic polskich, Klemensa XIV, który zaprotestował przeciwko rozbirowi Polski, i Piusa IX-go, żarliwego obrońcę wszystkich uciśnionych.

Pius X, który zapłakał nad adresem z Podlasia, zaznaczył to swoje stanowisko w słowach, wyrzeczonych do delegacji z Księstwa Poznańskiego:

„Jesteście dziećmi nieszczęśliwego i ze wszech miar dziś utrapionego narodu, a jako ojciec, który jednakowo miłuje swe dzieci, lecz szczególną miłością otacza te, które są udręczone cierpieniem, tak i wy, synowie moi, do tej szczególnej miłości macie prawo.

„Radbym z całego serca ulżyć waszym cierpieniom i wziąć na siebie ten ciężki krzyż, który dźwigacie, a co tylko jest w mojej możliwości, nie zaniedbuję, aby wam pośpieszyć z pomocą”.

Posłanie, w dziedzinie wiary i kultu religijnego, stałego, niezłomnego punktu oparcia, niezależnego od żadnej władzy państwowej i stosunków politycznych, jest nie tylko dla sumienia, lecz dla zachowania bytu narodowego rzeczą wagi nieocenionej, choćby dlatego, że z tą dziedziczą kojarzą się ściśle takie skarby każdego narodu, jak mowa ojczyzna i charakter jego kultury. Świadczy o tem historia i dzieje współczesne. Nieraz też z rozmaitych stron kuli ziemskiej zwracały się do stolicy, apostolskiej prośby i skargi uciśnionych, a tysiące serc powtarzało z otuchą różnemi słowy myśl, skrytylizowaną przez Sienkiewicza w zakończeniu „*Quo Vadis*”:

„I tak minął Neron, jak minął wicher, burza, pożar, wojna lub mór, a bazylika Piotrowa panuje dotąd z wyżyn watykańskich miastu i światu”.



# DZIECI

POWIEŚĆ.

— Pan Pędzelek jest, ale on teraz bardzo zajęty... Chociaż... może i jego pan spotka.

Nad wieczorem przyszedł do mieszkania faktora młody Żyd mizerny, z rzadkim zarostem. Miał na sobie rewolucyjną pelerynę i bardzo rewolucyjny kapelusz, na twarzy ceglaste wypieki, a w oczach jakiś niezdrowy płomyk.

— Jak się towarzysz ma? — zaczął przybysz tonem, który niemile dotknął Świrskiego. — Ja jestem Dawid Regen, zegarmistrz...

— Aha!... — mruknął Świrski, przypominając sobie.

— I ja towarzysza znam. Towarzysz nazywa się...

— Wszystko jedno... — przerwał Świrski.

— To prawda — potwierdził Regen. — Towarzysz przyjechał tu na moją sprawę z panem policmajstrem?...

— Nie znam pańskiej sprawy z policmajstrem — odpowiedział cierpko Kazimierz.

— Jak to może być, ażebyście nie znali?... — zdziwił się Regen. — No, ale jeżeli chcecie należeć do interesu, to ja wam opowiem...

— Wcale nie chcę należeć!... — odparł zirytowany Świrski, nie mogąc oprzeć się podejrzeniu, że rozmawia z nienormalnym człowiekiem. Ale Regen nie słuchał i nie słyszał go, tylko mówił swoje:

— Moja mama, pan wie, handluje damską garderobą. Raz po katolickim Nowym Roku moja mama spacerowała sobie z drugą bardzo porządną kupcową, koło sklepu, gdzie ja naprawiałem zegarki, i nawet roześmiała się do mnie, a ja do niej przez okno. Moja mama miała w rękach damskie okrycie i dwie parasolki. Wtem naprzeciw idzie pan policmajster. Nic nie mówi, tylko raptem wyrywa mojej mamie z rąk obie parasolki i okrycie, rzuca na ziemię i depcze nogami, a ja to wszystko widzę przez okno. Więc wybiegłem na chodnik i mówię: „Przepraszam pana policmajstra, ale teraz jest konstytucja i nie można tak uchybiać porządnym kupcowym“... Ciebie szto — on mówi — ty padlec?... A ja mówię: „To jest moja mama i przy konstytucji nie wolno tak robić“... Ach, ty sukin syn... — on mówi. — Kazał mnie aresztować, zaprowadzić do swojej kancelaryi i mówi: Ty jewrej kryczy aj waj!.. Ja mówię: „Przepraszam pana policmajstra, ale ja jestem ruski konstytucyjny obywatel, ja mam wolność“... Wtedy on kazał mnie przewrócić i ciągle woła: Ty jewrej kryczy aj waj!.. Ja mówię: „Nie będę“. Wtedy dwa stójkowe zaczęli mnie bić, że myślałem, co mi krzyż pęknie. No i żeby się takie paskudztwo raz skończyło, ja zawołałem: „aj waj“!...

Oni mnie puścili, ale ja tego bicia nie mogę zapomnieć. I ja nieraz myślałem: wyjdę na ulicę, stanę na chodniku, a jak będzie szedł pan policmajster, to ja mu będę patrzył harło w oczy i nie ustąpię z drogi. Ale kiedy ja zobaczyłem jego, to zaraz

się we mnie wszystko trzęsło i usunąłem się pod ścianę. A jak on zapytał mnie: Szto jewrej twoja kanstytucya?... — to ja zdjąłem czapkę i powiedziałem: „Moje uszanowanie panu policmajstrowi“...

Od tej pory to ja już nie mogę sypiać, ani jeść, tylko ciągle myślę: dlaczego ja boję się pana policmajstra, a pan policmajster nie boi się mnie?... I ciągle sobie myślę, w dzień i w nocy, że ja muszę jemu zrobić taki strach... taki wielki strach!... A potem niech ja już zginę. Wyście na ten interes przyjechali!...

Teraz Świrski był pewny, że Regen jest zdeklarowanym waryatem. Litował się nad nim i nie chciał go drażnić, ale zarazem czuł, że dłużej nie wytrzyma jego obecności ani opowiadań.

Szczęściem wszedł Pędzelek i wyprawił Regena. Świrski schwycił przybysza za ramię i zapytał zduszonym głosem:

— Kogo złapali z oddziału Zajączkowskiego?...

— Już wiesz?... Chrzanowskiego, Starke i jeszcze jakiegoś... Lisowski zginął... No... no... no... cóż ty znowu?...

Świrski upadł na obdarte krzesło i przez chwilę trzymał głowę opartą na obu rękach.

— Chrzanowski wzięty... Lisowski zginął!...

— Nie bądźże babą — zawołał Pędzelek. — Codzień ktoś ginie i kogoś łapią... Jutro złapią mnie, pojutrze ciebie...

Świrski przypatrywał się drobnej figurce, gapiowatej minie i sterczącemu pęczkowi włosów na głowie gościa. I pomyślał: „Jeżeli ta pokraka trzyma się dzielnie, czy nie wstyd, nie hańba, ażebym ja tak upadał?... I czy nie miał racji Altman, wątpiąc o mojej odwadze?“...

— Jestem bardzo zmęczony — rzekł Świrski głośno. — Od dziesięciu dni ani razu porządnie nie spałem...

— To się wyśpij, a jutro o dziesiątej przyjdź do Wiery...

— Przyjdę... Muszę wydobyć Chrzana.

— Głupi jesteś — odpowiedział Pędzelek. — Akurat teraz pomoże ci kto, kiedy cała organizacja zajęta policmajstrem.

Pędzelek wyszedł, Świrski rozmyślał:

„Co im znowu ten policmajster wlaź do łba?... Więc nikt nie pomoże mi uwolnić kolegi z pod szubienicy... Pyszny Pędzelek!.. Vogiel czy Altman takby mi nie odpowiedział, z pewnością coś poradziłby, choć to bydlę przypuszcza, że nie mam odwagi“...

Zbudził się w nim gniew na Altmana, a jednocześnie oczyma wyobraźni zobaczył go w urzędowym płaszczu i mundurowej czapce... I w tej chwili w jego umyśle jakby uderzyły o siebie dwa pojęcia: konieczność złożenia dowodu nadzwyczajnej odwagi i — uniform...

„Gdyby zaznajomić się z którym dozorcą więzienia?... gdyby przebrać się za dozorcę?... gdyby przekupić?... A gdyby wy-

prowadzić Chrzana z więzienia, a samemu podstawić się na jego miejscu?“...

Pulsa biły, jak młoty, pierś pękała pod naciskiem dziwnych uczuć, a w głowie... A w głowie zapalił się genialny plan wydobywania Chrzanowskiego... Świrski czuł, że ów plan już w nim jest, choć jeszcze jasno nie widział jego szczegółów. Zarazem pojmował, że, gdyby nie spotkanie z Altmanem, nie kłótnia z nim i nie widok jego uniformu, plan taki nie przyszedłby mu do głowy.

Świrski był już nie tylko wzruszony, ale wprost — oszalały wielkością nie sformułowanego projektu; biegał po izbie i drżał ze wzruszenia... Czuł, iż w tej chwili w jego duszy rodzi się coś tak zuchwałego, tak wielkiego, że, choćby zginął, wykonywając swój zamiar, już zaliczonoby go do jednostek niepospolitych w rodzaju ludzkim. W tej chwili przestał być młodzieńcem, a stał się mężczyzną.

I przyszło mu na myśl, że kto wie, czy nie po to urodził się, czy nie po to kształcił się w różnych kierunkach, nie po to spiskował, żeby w rezultacie — zdobyć się na wynalezienie, obmyślenie i wykonanie takiego planu!

— O, kochany... o czcigodny Altmanku!... — zawołał. Gdyby spotkał go teraz, ucałowałby mu ręce.

„No, choćby mi przyszło zginąć, wiem, za co zginę!“... — pomyślał. — Włożył mieszczkańską, niezgrabną kapotę i pobiegł do doktora Dębowskiego, śmiało, wesoło...

W gabinecie lekarza była zapuszczona roleta, ale świeciło się. Kazimierz wszedł na schody, mocno zadzwonił, a widząc, że stara gospodyni chce go odprawić z niczem, głośno zawołał:

— Okazyja z Leśniczówki!...

Doktor otworzył drzwi, stanął, podniósł okulary, popatrzył jednym okiem, drugim.

— A chodźże asan — rzekł. — Musi cię bardzo swędzić siedzenie, kiedyś tu przyjechał — dołał, wprowadziwszy Kazimierza do gabinetu.

— Kieszeń mnie swędzi... — odpowiedział Świrski, śmiejąc się.

— Cóż to... już wydałeś trzy tysiące rubli? — zdziwił się doktor.

— Jakie?...

— No te, które w zeszłym tygodniu posłał ci stryj przez Kłemensa?...

Świrski ośupiał. Nastąpiły wyjaśnienia, z których okazało się, że doktor jeździł do stryja Świrskiego, że stryj był zropaczony, że wziął od Wajntrauba, ile mógł, to jest trzy tysiące rubli i, za pośrednictwem Kłemensa, wysłał Kazimierzowi, zaklinając go, ażeby jak najrychlej wyjeżdżał do Galicji, z kolegami, czy bez kolegów.

— Ja tych pieniędzy nie odebrałem — odrzekł Świrski i opowiedział swoją historię z dwu ostatnich tygodni.

Dębowski aż za głowę się schwycił.

— Toś ty, paniczu, był w oddziale Zajączkowskiego?... — zawołał doktor. — Przecież to zdeklarowany bandyta, a jego partyja sa-



mi złodzieje... Nawet onegdaj kilku z nich złapali i powieszają, jak amen w pacierzu!...

— Otóż to, że powieszają... A kogo?... Najszlachetniejszego chłopaka, Chrzanowskiego—mówił zirytowany Świrski. — I dlatego potrzebuję pieniędzy... Muszę go wydobyc.

Doktor wzruszył ramionami, ale już nadto dobrze znał stosunki między Świrskim a jego kolegą i charakter Kazimierza, aby wdawać się w perswazyje. Na zbiedzonej twarzy chłopaka widać było jakieś niecofnięnie postanowienie.

— Rób, co chcesz—rzekł doktor.—Ale nie wiem, jak będzie z pieniędzmi, bo Wajntraub na kilka dni pojechał do Warszawy...

Świrski zatarł ręce, aż kości chrzęstnęły. Nagle rzekł:

— To niech pan, w imieniu stryja czy mojem, pożyczyci od Pfefermana...

— Pfeferman chory...

— Właśnie... I może dlatego pożyczyci — odparł Świrski i opowiedział doktorowi przygodę Pfefermana z partią Zajączkowskiego.

Doktor podniósł brwi i ręce do góry.

— Pójdę do Pfefermana jutro—rzekł.— Powinienby dać, gdyż, obok wdzięczności, nie naraża się na żadną stratę. Twój stryj majątek sprzedaje, byle cię uratować...

Gdy Kazimierz wrócił do mieszkania, faktor zaprowadził go do ustronnej komórki, gdzie było duszno i ciemno. Ale Świrski nawet nie spostrzegł tego; rzucił się w ubraniu na krótkie i twarde łóżko i zasnął.

O ósmej już był na nogach, wypoczęty i rzeźki. Napił się szkaradnej herbaty ze świeżą chałą, a przed samą dziesiątą poszedł do mieszkania Wiery. Na ulicach trzymał się pochyło i niezgrabnie, ale śmiało patrzył na strażników, a jednego zapytał, gdzie powiat? Powłókł się we wskazanym kierunku, lecz nagle skręcił do ogromnego domu, gdzie mieszkała Wiera.

Dama ta, silna brunetka z szerokimi ustami, sierota po wyższym wojskowym, utrzymywała się z lekcyi fortepianu, doskonale płatnych; z amatorstwa uczyła młodzież rzemieślniczą śpiewów chóralnych i opiekowała się bez żadnych przeszkód więźniami politycznymi. Zajmowała trzy pokoiki w amfiladzie. Do pierwszego znoszono ofiary dla więźniów: pieniądze, odzież, herbatę, cukier... W drugim Wiera przyjmowała bliższych interesantów, a w trzecim zbierali się spiskowcy wszelkich wyznań, stanów i narodowości. Świrski znał ją dobrze i bardzo lubił jej bezgraniczną dobroć i pogodny humor.

Kiedy Świrski wszedł do pierwszego pokoju, Wiera udała, że go nie poznaje, i rozmawiała z dwiema damami.

*Dama pierwsza.* Co dla więźniów przyjmuje pani w naturze?

*Wiera.* Wszystko, nawet paski do kajdan. Pani wie, że skazanym do katorgi nakładają na nogi łańcuchy, które bardzo przeszkadzają im chodzić...

## WIECZORY TEATRALNE

### I MUZYCZNE.

*Staroświeckość obecnego tradycyjnego typu baletowego.—Wirtuozowskie popisy solowe.—Zmodernizowanie baletu.—Zaprezentowane nam dwie próby w tym kierunku.—„Szopeniana“, balet w jednej odsłonie, ułożony przez M. M. Fokina, z muzyką Chopina, w układzie M. Kellera.—„Eunice“, balet w dwóch odsłonach układu M. M. Fokina, z muzyką A. W. Szczerbaczewa.*

Szlachetnemu kunsztowi tańca, posiadającemu nawet „naukę“ własną (choreografia), wyrządził niedźwiedzią przysługę—balet nowoczesny. Sugestyjne migotanie cielistych trykotów w przezroczystych mgłach gazowych falbanek przyćmiło całkiem dostojną powagę—tańca. Taniec, żywiołowy objaw sztuki, dla którego mitologia grecka zniewolona była wyznaczyć specjalny patronat (Terpsychora), zdegradowany został powoli do poziomu: prywatnej i publicznej—zabawy.

Egipski i grecki rodowód tańca gdzie się zapodział z kretelem w pamięci ludzkiej, a t. zw. „balet“ stał się areną popisu dla płomiennookich baleryń. Wirtuozostwo szalonych, czysto-gimnastycznych piruetów zapanowało wszechwładnie nad zszywającą już tylko ladajako te popisy—pantomina.

Nie tylko dawno już przestał być taniec: *podkreślanie* mimicznym śpiewu i muzyki, dodawaniem im wyrazistości za pomocą odpowiednich gestów i ruchów, ale przestał być nawet choćby pomocniczą Sztuką. Z beładnem hasaniem po salonach poszło w parze kontorsyowe miotanie się po scenie, dbałe bardziej o drastyczne uwidocznianie wielorakich wdzięków i powabów tancerki, niż o widzów uciechę estetycznej natury. O produkowanych podczas widowisk baletowych: barbarzyńskich kake-walk'ach i maczyszach nie wspominać. Wyreżyzył mi, odbyty ubiegłego lata w Berlinie, międzynarodowy kongres choreografów, rzucając anatemię na to ostateczne zdeprawowanie i zdegenerowanie kunsztu tanecznego.

I nie zbije mnie z tropu powoływanie się na niezrównaną grację, powiemość, czar takiej Camargo, Taglioni, sióstr Elssler, Grisi, Succi etc., aby tylko wymienić najpopularniejsze imiona... Właśnie one doprowadziły nie tylko do apogeum, ale i *ad absurdum* solowe popisy, poza którymi zginął taniec sceniczny *zbiorowy*, dla którego ugruntowania wśród kulturalnych społeczeństw ufundował przed dwoma i pół wiekami ś. p. król Ludwik XIV paryską „Academie Royale de danse“.

Co się z nią stało! Istnieje wciąż nad Sekwaną, ale „duch“ z niej artyzmu dawno uleciał. Dziś... kto wie, czy na całym obszarze cywilizowanego świata nie w jedynym tylko Petersburgu kwitnie jeszcze kult dla Terpsychory, podtrzymywany przez tamtejszą baletową *haute école* tańca. Balet, jako cało-wieczorowe widowisko, bodaj że „modnym“ nie przestał do dziś dnia być tylko nad Newą. Przeważa jednak i tam jeszcze stara, tradycyjna faktura baletowa.



Eunice, balet układu M. Fokina, muzyka W. Szczerbaczewa.

Lecz świtać już zaczęła nowa baletowa era. Jakieżby miały być jej znamiona? Radykalnie, niemal brutalnie zainaugurowała je Isadora Duncan. Wzięła rozbrat z nogołomnymi popisami zręczności i sprężystości i wróciła do rytmiczno-malowniczych ruchów oraz póź. Wróciła do najstarszych tradycyi kunsztu tanecznego, do zaznaczonego wyżej: dopełniania melodyi pogłębianiem jej *wyrazu* za pomocą gestu, ruchu i mimiki. Utało się mówić: Duncan tańczy Beethovena, Mendelssohna, Chopina i t. d. Należałoby mówić i pisać: Duncan tańcem swoim pogłębia ekspresję muzyki tych mistrzów.

Śmiała innowacja i inicjatywa bosonogiej Dunki zaczyna oto przenikać stare szablony baletowe, wywołując baletowy—renesans. Jak zaś owo odrodzenie może wyglądać, mieliśmy żywą przyjemność przekonać się naocznie, tu, o dwa kroki stąd, na scenie naszego Wielkiego Teatru.

Przybył tu do nas szef baletu petersburskiego, p. Fokin, i wystawił nam za jednym zamachem aż dwa balety, całkiem do siebie niepodobne, ale o charakterze najzupełniej pokrewnym. Nazwałbym ów charakter, czyli też styl: baletowym nowoczesnym renesansem.

Więc tedy: najpierw zaprezentowano nam—doskonale wyćwiczone—korowody, ruchy zbiorowe taneczne, oraz malownicze grupowania się *corps de ballet* u podłogi muzyki Chopina ze ściśniętym przystosowaniem owych zbiorowych ruchów i póź do—charakteru i nastroju melodyi tak, aby owe ruchy i pozy pogłębiały i uplastyczniały *wyraz* tych melodyi. Dano nam bardzo umiejętnie dokonaną, oraz najzupełniej artystyczną kombinację Tańca i Muzyki (dodać kto może: i Poezyi), nie ubliżając ani Muzyce, ani Tańcowi. Giulio Romano wystawił przecie na obrazie swoim *wszystkie* Muzy, tańczące razem, i nikt takim poufaleniem się ich ze sobą gorszyć się nie będzie.

Powiem więcej. Wcale nie „krojone“ i nie „przystosowane“ do wymagań sceny cudne melodie Chopina, traktowane z przykładowym pietyzmem, udzieliły nam sumę wrażeń nowych, nie zaznawanych podczas koncertowej tylko interpretacji.

Nastąpił drugi z kolei „balet“.

Była to, wyrażając się ściśle: pantomina, osnuta na motywach jednego z epizodów sienkiewiczowskiego „Quo vadis?“ Był to—żywy obraz. Było to—plastyczne, a w ruchu, odtworzenie ucztu u Petroniusza, na tle której rozgrywa się krótka, dramatyczna akcja między Eunice, Petroniuszem, niewolnicą Akte i rzeźbiarzem Klaudyuszem. Podtrzymuje cały ów amalgamat ruchów, póź i mimiki muzyka równie zręczna, jak wytrawna i o wrodzonym świadcząca talencie p. Szczerbaczewa.

Ani śladu oszałamiających solowych popisów tradycyjnych „baletowych“. Znikły nawet bez śladu trykoty i gazowe krótkie spódniczki. Stroje wszystkie stylowe, bardzo wiernie odtworzone, a z wielkim malarskim smakiem utrzymane w harmonii kolorów i tonów. Akcja cała, do najdrobniejszych szczegółów epizodycznych, wyreżyserowana znakomicie, a „tańce“ zbiorowe, układające się nieustannie w coraz to pomysłowsze i wdzięczniejsze grupowania się—sprawiają i bardzo miłe i wręcz niespodziewane wrażenie świeżością koncepcji i nieskazitelnością szlachetnego wykonania.

Wystawienie na scenie naszej „baletów“ (po cóż konserwować zwietrzałą i archaiczną nazwę!): „Szopeniana“ i „Eunice“ uważać wolno za moment przełomowy, za wyłom, uczyniony w tradycyjnych szablony baletowych, coraz bardziej przesycających publiczność. Nowością—zainteresowano się u nas i przyjęto ją z pełną uznania sympatią. Podobna się.

Balet, zastygły w formach tradycyjnych, przeżywa się prawie wszędzie; coraz bardziej schodzi do roli urozmaicenia opery, jako intermezzowa „wstawka“. Jeżeli przeto mają znów nabrać powabu i ożyć wielkie widowiska, poświęcone wyłącznie Sztuce Tanecznej, tedy stać się to może, o ile wnosić wolno z tutejszego sukcesu, tylko za przyczyną zreformowania baletu w sposób taki, jakiego bardzo piękna i pomyślną próbę oglądać nam dano.

I przybędzie nam „wieczorów teatralnych“ niepowszednie i wielce powabne urozmaicenie.

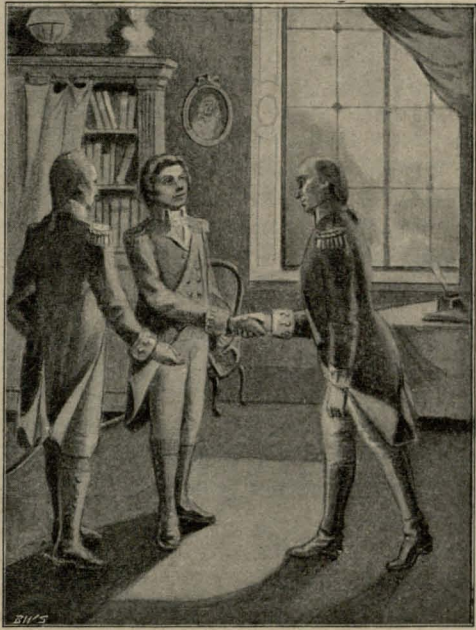
CZESŁAW JANKOWSKI.



# NA GWIAZDKĘ.

## III.

Ilni wydawcy, prócz Gebethnera i Wolffa, rzucili też naszej młodzieży cały snop zajmujących książeczek treści niezwykle urozmaiconej.



Ilustracja do „Młodości wodza narodu“.

Z pośród utworów historycznych wyróżnia się „powieść dla młodzieży” *Jerzego Orwicza*, p. t. „*Młodość wodza narodu*” (M. Arct, cena kart. rub. 1.20, w opr. ozd. rub. 1.50).

Nie powieść to coprawda, ale po literacku wykonany życiorys Kościuszki z czasów jego dzieciństwa i pierwszej młodości, aż do powrotu z Ameryki; niemniej wszakże książka jest ciekawa i pouczająca: przedstawia szczegóły i sceny dziejowe mniej znane z pierwszych lat panowania Stanisława Augusta, zajmujące epizody z pobytu Kościuszki w korpusie kadetów i w inn. Mniej tu „zmyślenia poetyckiego”, niż w innych o podobnej treści utworach, nierównie więcej za to ścisłości historycznej, świadczącej o tem, że autorka starannie przygotowywała się do swej pracy, czego dowody znajdujemy w licznych przypisach.

O rodzaju twórczości *W. Przyborowskiego* mówiliśmy już w pierwszej naszej pogadance. Obecnie musimy do niej powrócić z powodu trzech jeszcze najnowszych powieści: pierwsza z nich to „*Grom Maciejowicki*” (Lwów, H. Altenberg, Warszawa, K. Trepte, cena rub. 1.35), przedstawia ostatnie chwile walki w „polu otwartem”, smutny obraz klęski i rozgromu, promienny tylko świetlaną postacią ukochanego Naczelnika; druga nosi tytuł „*Młodzi gwardziści*” (M. Arct, wyd. II, cena kart. rub. 1, w opr. ozd. rub. 1.30) i przedstawia chwilę nieco późniejszą, a mianowicie oblężenie Warszawy przez Prusaków w r. 1794, a z tego powodu kreśli w ciekawych i charakterystycznych rysach owoczesne życie stolicy, nastrój patriotycznie usposobionego mieszczaństwa, cały szereg interesujących scen rodzajowych i typów staromiejskich z przed wieku; trzecia wreszcie, p. t. „*Reduta na Woli*” (M. Arct, cena rub. 1, w opr. ozd. rub. 1.30), przenosi nas w czasy znacznie późniejsze, przedstawia jeden z bohaterskich a tragicznych epizodów obrony Warszawy w roku 1831, ową słynną redutę na Woli, gdzie zginął śmiercią walecznych wstawiony w pieśni i powieści generał Sowiński, o którym tyle krąży wśród nas mniej lub więcej zbliżonych do prawdy dziejowej podań. Ilustracje, dodane do powieści Przyborowskiego, poprawne, z wyjątkiem „Reduty”, której rysunki nazbyt już pośpieszne i szkiełowe,

Niewielką, ale pełną treści dziejowej książeczkę dała nam w bieżącym sezonie p. *Anna Zielińska*, p. t. „*Syn Ukrainy*, powieść z czasów konfederacji barskiej” (M. Arct, cena w opr. kop. 80). Barwne obrazy bojów konfederacji barskiej, które odtwarzał wierszem Juliusz Słowacki, w prozie—Henryk Rzewuski, a na tem tle piękna, sympatyczna postać kozaka-patrioty, Sawy Calińskiego, oto co złożyło się na treść tego dziełka, przenikniętego szczerem, nie tylko naro-

dowym, ale i humanitarnym liryzmem; ilustrował „Syna Ukrainy” utalentowany malarz, A. Gawiński.

Powiatka p. *Anny Grudzińskiej*, p. t. „*Tymko Orlik*, opowiadanie historyczne z XIII wieku” (M. Arct, cena kop. 30), przenosi nas w odleglejszą epokę, odtwarza czasy Leszka Czarnego, napady Tatarów, dwór rycerski za Piastów i jego obyczaje, a na tem tle kilka figur pierwszoplanowych, z pośród których wyróżnia się sympatyczna sylwetka kmiecego syna, Tymka Orlika; jest to dzielny, serdeczny chłopiec, reprezentujący godnie stan włościański, który w owej epoce nie był jeszcze w takim poniżeniu, jak za Jagiellonów.

Późniejszą epokę, czasy Władysława Jagiełły przedstawia powiatka: „*Grześ z Sanoka*”, przerobiona z powieści *J. J. Hraszewskiego*: „*Strzemięczyk*” (M. Arct, cena kart. kop. 30). Postacią główną jest tu słynny nasz humanista i wróg scholastyki, Grzegorz z Sanoka, podówczas jeszcze pacholęciem będący. I epoka i bohater wybrani nader trafnie.

Do tegoż działu wreszcie należą *Z. Morawskiej* „*Opowiadania z dziejów ojczystych dla domu i szkoły*” (M. Arct, cena kart. kop. 40, w opr. ozd. kop. 60). Zawierają one całokształt dziejów Polski, do najdawniejszych czasów, od bajecznych Leszków i Popielów, aż do chwili obecnej, ze znaczną, oczywiście, przewagą pierwiastka anegdotycznego, ale tylko fakty i daty najważniejsze. Stanowiąc będą materiałem do pogadank z młodszymi dziećmi, bo, jako samodzielna lektura, użyte być nie mogą dla pewnej schematyczności wykładu i suchego stylu.

A teraz powieści podróżnicze! Pod tym względem żadna z firm księgarskich nie może poszczycić się tak obfitym plonem, jak Gebethner i Wolff. Mamy oto np. jeszcze „*Robinsona Hruzoe*”, którego, według *J. M. Campégo* opracował A. Orłowski; nie można tego jednak porównać pod żadnym względem z wyborną, a tak popularną od tylu lat przeróbką *An-czyca*. M. Arct rzucił na rynek księgarski nie tłumaczoną jeszcze powieść *Juliusza Verne'a* p. t. „*Mról przestrzeżeni*” (cena kart. kop. 60). Jedna jeszcze fantazja naukowa, której może wkrótce dane będzie się urzeczywistnić, jeszcze jedna próba statku cudownego, prującego z równą zwinnością fale wodne, jak i niezmierzone przestrzenie powietrzne, unoszącego się bez trudu ponad powierzchnią ziemi, zanurzającego się też, w miarę potrzeby, w nurty rzeki lub morza. Powieść czyta się z zaciekawieniem, ilustrowana jest poprawnie.

Mamy i kilka powiastek „współczesnych”. Leży przed nami np. dłuższe „opowiadanie” p. *Julii Piaseckiej* p. t. „*Przygody Wojtaszka*” (M. Arct, cena kart. kop. 90). Nowych motywów tu może nie wiele: trochę „*Janka Muzykanta*” *Sienkiewicza*, nieco „*Antka*” *Prusa*, jest też coś i z „*Robinsona polskiego*” *Dygasińskiego*, wreszcie i pomysły romansowe o zgubionych i znalezionych dzieciach. Ale wszystko to razem przedstawia całość miłą i pouczającą, nie pozbawioną zacnej, obywatelskiej myśli i szlachetnych dążeń: bohater bowiem, mimo niezwykłych kolej losu, wyrósł na dzielnego i pracowitego człowieka, w przygodach tych zahartował się charakter jego, rozwinęły umysł i serce.

Podobna tendencja moralna wygląda z pomiędzy kart „powieści dla młodzieży” p. *Zofii Howerskiej* p. t. „*Dzielny chłopiec*” (M. Arct, cena kart. kop. 70). Tutaj dążność ta wyraża się w przeciwstawieniu dwu typów, dwu żywotów ludzkich: dwaj rówieśnicy, obaj synowie bruku warszawskiego, odmiennymi pokierowali się drogami, jeden o silnej woli, mimo ubóstwa nie poniża się, nie hańbi i wyrasta na dzielnego człowieka, drugi—stacza się w błoto uliczne, poznaje najgorsze męty wielkomięskie i...zatrzuwa niemi swą duszę, upadła się i ginie nędźnie, jako rzeźmieszek. Szereg żywych, umiejętnem piórem skreślonych obrazków obyczajowych z życia Warszawy ubarwia tę ciekawą książkę.

Niewielką, ale wcale ładną książeczkę napisała p. *Maryja Rujno*, p. t. „*Pałac z piasku*” (M. Arct, cena kart. kop. 30), o dziewczynce, która pracowała nad siły, z prawdziwym zaparciem się, byle tylko przyjąć z pomocą ciężko walczącym o życie rodzicom. Myśl moralna podobna, jak i w dwu poprzednich powieściach.

Z pośród opowiadań, popularyzujących wiedzę przyrodniczą, przedewszystkiem winniśmy wymienić powieść, uwieńczoną przez Akademię Francuską, p. *Emila Desbeau*, p. t. „*O czem się Janek dowiedział*” (M. Arct, cena kart. kop. 70). Nic to, że bohater jest młodym Francuzem, że rzecz dzieje się w Bretonii, na brzegu morza, którego my nie posiadamy, bo i nasze dzieci znajdują tu wiele dla siebie ciekawego. Ścisłe biorąc, są to pogadanki przyrodnicze, ujęte w formę powieściową: o ładach i morzach, przyptywie i odpływie, prądach morskich i wiatrach i t. p. zjawiskach; ściśle, naukowe, a przytem niezmiernie jasne i barwne ich wyjaśnienie jest prawdziwą zasługą książki, której przyswojenie naszej literaturze należy uważać za myśl nader szczęśliwą.

Już w minionym sezonie zaczęły się pojawiać tomiki wydawnictwa: „*Zwróć oczy na przyrodę*”; wyszły one z pod pióra znakomitej amerykańskiej popularyzatorki, znanej już i naszym dzieciom z kilku wybornych dziełek, *Arabelli B. Buchley*. Dziś ukazała się trzecia książeczka, p. t. „*Życie w lesie i w polu*” (M. Arct, cena kart. kop. 50), podobnie, jak i pierwsze dwie: o roślinach i ptakach, obficie ilustrowana i zdobna w barwną okładkę; żywe, zaciekawiające powiatki o pająkach, dzieciach, wiewiórkach, mrówkach, trzmiełach i t. p. składają się na treść tej książeczki; przenikniętej szczerem pragnieniem otwarcia oczu małych czytelników na cuda i czary przyrody.

Podobnymi zaletami charakteryzuje się dziełko *Harola Ewolda*, p. t. „*Nowe opowiadania, prawdziwe i fantastyczne, na tle przyrody, dla młodzieży*” (M. Arct, cena w oprawie kop. 30). Cztery tu zawarły się powiatki: o wróblu, kukułce, kijankach i chrabąszczach, a wszystkie barwne i wzbudzające szczerze zaciekawienie, również jak i poprzednio wydane tegoż autora „*Opowiadania*”.

Tegoroczny więc dorobek wydawniczy w zakresie książek dla młodzieży jest bardzo obfity i różnorodny. Za to powiastek dla młodziej diatwy wyszło bardzo niewiele. Oto *Estei* baśń czarodziejska p. t. „*Mrólewicz Hędziorek i królowa Peretka*” (M. Arct, cena kart. kop. 80), rzecz, wcale po literacku napisana, z pięknymi rycinami, w ozdobnej szacie wydawniczej; oto *Zuzanny Morawskiej* „*Powiatki dla małych dzieci*” (K. Trepte, cena kart. kop. 50), króciutkie opowiadania, przeważnie ze świata dziecięcego—i to już wszystko.



Okładka książki „Król Bob”.

Nie! nie wszystko. Dodać jeszcze bowiem należy o oryginalnem dziełku *Teodora Volbehra*, p. t. „*Mról Bob*, opowiadanie z puszczy afrykańskiej” (Gebethner i Wolff, cena kart. rb. 1.50), coś jakby karta z „*Księgi dżungli*”, egzotyczny obraz, w którym bohaterami są słonie, małpy i inne olbrzymie dziewczyczych lasów Afryki. Rzecz interesująca i pięknie ilustrowana.

HENRYK GALLE.



## NA WIDOWNI POLITYCZNEJ.

*Bumle niemieckie w Pradze czeskiej. — Żałoba w Chinach. — Rewolucja w Haiti. — Sufrażystki w hali Alberta. — Parlament w Turcyi.*

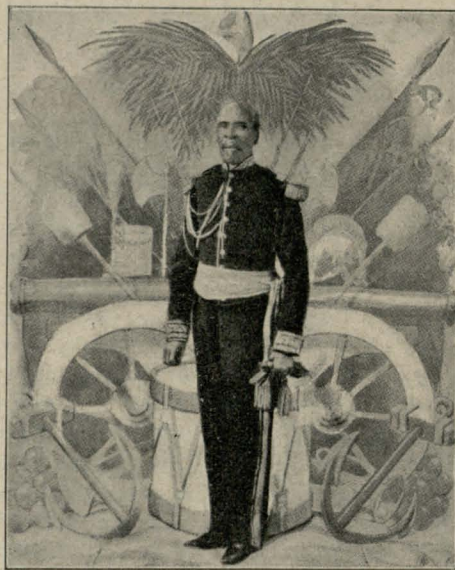
Rzecz się dzieje przed klubem niemieckim w Pradze czeskiej. Godzina 8 rano. Burszowie miejscowi i przyjezdni uroczyście wylegają na ulicę, by pełnić swą misję kulturalną, dumni, iż patrzeć na nich będą całe Niemcy.

— Zdrajcy, motłoch!

Tak wita ich tłum czeski, nie mogąc przewyciężyć nienawiści dla tych, co drażnią go stale od pewnego czasu. Pomimo to, niemieckie junaki śmiało, bo pod osłoną policyjną, rozwijają z góry uplanowany „bummel” w całej pełni. Jedne korporacje, wyszedłszy z bramy głównej, zwartemi kadrami stają na ulicy, a drugie wychodzą w dalszym ciągu, wymachując złowrogo sztandarami. Doprowadzony do ostateczności tłum czeski przestaje panować nad sobą i całą siłą napiera na kordony policyjne.

— Hej, Słowianie! — zagrzmiąło potężnie.

Ogólny zamęt i chaos. Tłum przerwał kordon policyjny. Ktoś już padł na ziemię, uderzony w głowę kopytem konia. Krew bryzgnęła na kamienie. Kije zamigały w powietrzu, zalsniły stalowe noże. Jeszcze chwila, a „bummel” przestoczy się w krwawą rozprawę.



Generał Nord Alexis, zbiegły prezydent Haiti.

„Bummel” skończony... Kultura niemiecka dała sobie ujście i wykazała swe dobrodziejstwa przed światem. W Chinach żałoba! Oryginalny kraj, oryginalne zwyczaje! Kolor biały jest jej emblematem, a przez

— Votes for women! Faktów, a nie słów! — krzyknęła nagle jakaś piękna lady, a kiedy tak zwani „stuarci”, t. j. ci, co pilnują porządku na meetingach, podeszli do niej, dama niespodziewanie wydobyla długi bat i kilkakrotnie uderzyła ich po twarzy. Kiedy chciano ją wyprowadzić z sali, okazało się, iż jest przykuta łańcuchem do zajmowanego miejsca.

Na krzyk pięknej lady zawtórowała cała sala i rozpoczęła się straszna, nie do opisanego walka, wśród której najwięcej ucierpieli „stuarci”, niemiłosiernie podrapani i pokaleczeni przez sufrażystki.

Sceny, jakie zaszły w sali Alberta, wyszły na niekorzyść ruchowi feministycznemu w Anglii, gdyż dały broń do ręki przeciwnikom reform, czego dowodem artykuły prasy angielskiej.

Ogólną uwagę zwracać pocznie niebawem parlament turecki, który wkrótce radzić ma nad losem odrodzonej krainy padyszacha. Jak będzie i co, powiedzieć trudno, dość, że już niedługo depesze z nad Bosforu znowu nabiorą cech pierwszorzędnej wagi i przykuwać będą ogólną uwagę.

Posiedzenia parlamentarne będą się odbywały w tym samym gmachu, w którym mieścił się i pierwszy parlament z roku 1876. Przez trzydzieści dwa lata cały fronton, przeznaczony na ciała prawodawcze, głucho zabity był deskami, a tylko dzikie gołębie gnieździły się spokojnie w salach, mając do nich dostęp przez



Na ulicach Pragi Czeskiej.

— Bursze, do klubu! — komenderuje policja.

Rozwścieczony tłum oblega gmach, do którego skryli się studenci niemieccy, próbując wyłamać bramę, lecz oto słychać dźwięk trąbki, i batalion piechoty rozpoczyna działanie... Tłum czeski pierzcha beładnie. Na ulicy zostaje policja, żandarmi i wojsko. Podnoszą rannych, opatrują i odwożą do szpitala. Świeża krew ludzka pachnie dokoła.



Gmach parlamentu tureckiego.

cały rok trwać musi okres ogólnego smutku i żnękania, bo tak nakazują księgi kanoniczne Konfucjusza. Przed grobem cesarskim ciągle modły i wylewanie łez potokiem. Kto chce i nie chce, płakać musi, bo w przeciwnym razie... bambusy dopomogą, a pięta w Chinach jest tradycyjnie wrażliwą na razy częścią ciała ludzkiego.

Czy słyszał kto o Haiti? Zapewne nie, a przynajmniej bardzo niewiele i bardzo rzadko, dziś jednak niewielka, napoty z barbarzyńską ludnością republika każe mówić o sobie o sobie, zwracając uwagę wydarzeniami ostatniej doby.

Okazuje się, że rewolucja to war, który buchać potrafi nie tylko z wielkiego kotła, lecz i z małego, najdrobniejszego nawet naczynia. Dowodem tego Haiti. Potężna burza wstrząsnęła niedawno tem niewielkim państwkiem, a strumienie krwi popłynęły obficie, z iście barbarzyńskim zacięciem wytoczone przez rząd dotychczasowy. Prezydent, generał Alexis, stał się głównym bohaterem krwawego dramatu, z tragicznym jednak dla siebie rozwiązaniem, gdyż zmuszony był wyrzec się kierowniczej władzy i uciec potajemnie z kraju.

Widownią niezwykłych scen w swoim rodzaju staje się od pewnego czasu Londyn dzięki sufrażystkom.

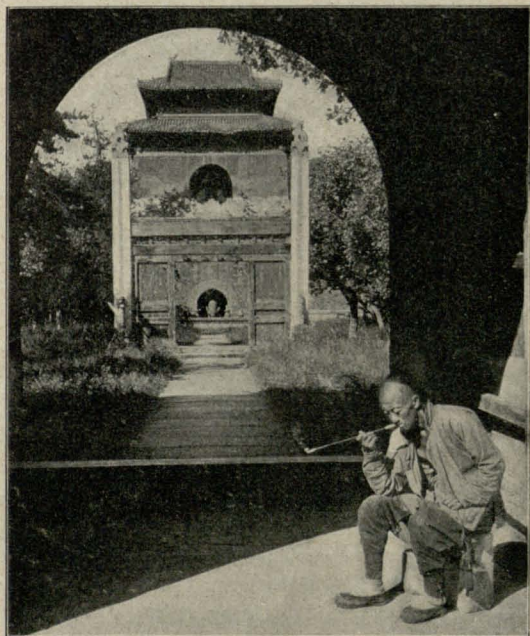
W sali Alberta zebrało się około 10 tysięcy osób, wśród których przeszło 8 tysięcy stanowiła płeć piękna.

— Rząd otwiera już wrota i pozostaje tylko wejść w nie! — tak rozpoczęła swoje przemówienie prezeska zebrania, lady Laren, wskazując zebrany na możliwość uzyskania praw politycznych dla kobiet w Anglii.

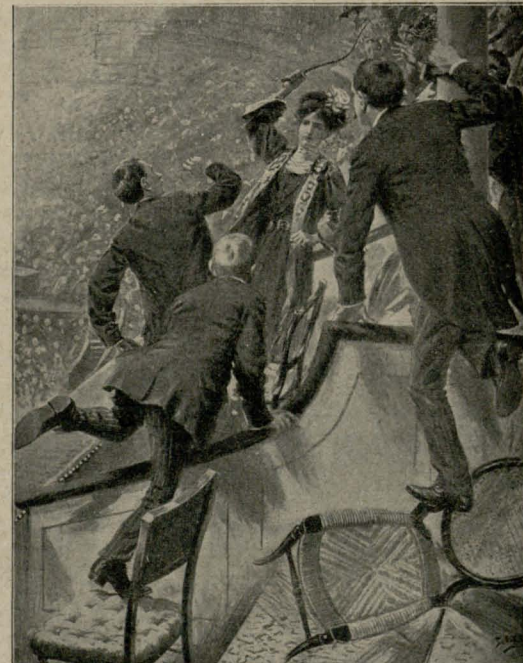
Po niej wszedł na mównicę doświadczony mówca, angielski minister George, który chciał dowcipnym żartem rozbroić wojowniczy nastrój sufrażystek, zgoła nie przewidując, co stać się może.

powybijane okna. Myszy i szczury również gospodarzyły zgodnie, zadawałając się szparami i szczelinami w podłodze.

Obecnie dotychczasowych gości usunięto, cały gmach odnowiono, a wkrótce ożywiony gwar ludzki po długoletniej ciszy usłyszają nanowo stęsknione nowego życia mury... K.



Grobowiec zmarłego cesarza chińskiego



Scena w Albert Hall.



## Z naszej prasy.

Bogato, jak zwykle, przedstawia się niedzielny numer *Kuryera Warszawskiego*, wielce urozmaicony pod względem treści. Gruntowny artykuł wstępny o ruchu neosłowiańskim, p. t. „Najmilsi Słowianie“, fachowe wyjaśnienie prawno-społeczne: „O zwrot kościołów“, na tle wniesionej przez Koło polskie interpelacji do Dumy, ciekawe korespondencje, prócz działów bieżących, składają się na część publicystyczną; w dziale literackim czytamy kilka pięknych wierszy Jerzego Żuławskiego, w odcinku — zreczną nowelkę Abgara Sołtana.

I *Głos Warszawski* nie pozostał w tyle za swoimi współzawodnikami: w niedzielnym numerze np., prócz wyczerpujących i źródłowych artykułów publicystycznych w głównej części, czytamy dwa bardzo ciekawe odcinki: Z. Dębickiego „Rutyna czy dusza“ (z cyklu „Na marginesie“), felieton, roztrząsający warunki i rodzaj pracy dziennikarskiej, oraz Stefana Popowskiego rzecz o piątej dorocznej wystawie T. Z. S. P. Oba artykuły są prawdziwą ozdobą numeru.

Poważny, jak zwykle, głos zabiera w sprawach społecznych i politycznych organ „realistów“, *Słowo*; staranny dobór artykułów, źródłowe informacje, szerokie uwzględnianie wszelkich dziedzin życia narodowego,

oto są zalety tego dziennika, który nie zapomina również i o sztukach pięknych, urozmaicając swą treść sprawozdaniami z ruchu literackiego i artystycznego, umiejętnie wybranymi nowelkami ze swojej i obcej literatury.

Inne dzienniki warszawskie starają się też o urozmaicenie swej treści: *Goniec* drukuje, pomiędzy innymi, ciekawą powieść obyczajową Tadeusza Jaroszyńskiego p. t. „Wieża z kości słoniowej“, *Nowa Gazeta* daje zasobny numer niedzielny, literacko-artystyczny.

Najmłodsi przedstawiciele prasy codziennej nie chcą też pozostać w tyle. Sympatycznie bardzo przedstawiają się wychodzące od niedawna *Wiadomości Codzienne*, pod wytrawnym i energicznym kierownictwem p. Ludwika Włodki, coraz lepiej odpowiadając swemu celowi, którym było — stworzenie nowego u nas, a tak potrzebnego typu pisma codziennego dla ludu w mieście i na wsi. Redakcja żyła się już ze swymi czytelnikami, weszła w rolę ich powierników i doradców. *Dzień* p. Stefana Gorskiego dąży również wytrwale do zajęcia pewnego stanowiska w naszej publicystyce periodycznej, jedna sobie współpracowników w sferach naszego dziennikarstwa i literatury, stara się o barwne zobrazowanie objawów życia.

Przechodząc do naszych miesięczników, przede wszystkim winniśmy kilka słów uwagi najstarszemu

i najbardziej zasłużonemu z nich, *Bibliotece Warszawskiej*. Dość przejrzeć ostatni jej zeszyt, aby przekonać się, na jak wysokim poziomie społecznym i artystycznym stoi to czasopismo: obok artykułu politycznego o „Turcy w Europie“ przez B. Koskowskiego dalszy ciąg pięknej kreacji M. Konopnickiej, „Pan Balcer w Brazylii“, obok rzeczy H. Mościckiego „Pod panowaniem Fryderyka II“ piękny rozbiór działalności Cypryana Norwida, obfity dział recenzyjny i kronika miesięczna.

Mówiąc o zasłużonych weteranach, nie należy zapominać i o młodych zapaśnikach. Mamy tu na myśli miesięcznik *Sfinks*, pod redakcją p. Władysława Bukowińskiego, kończący właśnie pierwszy rok swego istnienia. W każdym zeszycie znajdujemy szczerze rzuconą bogatą treść literacką i artystyczną. A więc w listopadowym czytamy Leopolda Meyeta rzecz o Słowackim i Komierowskim, Antoniego Szecha „Z podań Wschodu“, Adolfa Nowaczyńskiego „Sztuka współczesna u Czechów“, Wacława Grubińskiego nowelę p. t. „Zabawa“, dalsze ciągi powieści Tadeusza Micińskiego „Nietota“ i Zofii Rygier-Nałkowskiej: „Rówieśnice“, wreszcie doborowy dział poezji (piękny wiersz Maryana Zborskiego: „Na schodach“). Młodemu miesięcznikowi szczerze życzymy, by doczekał lat... *Biblioteki Warszawskiej*! △

N A D E S Ł A N E.

ISTNIEJĄCY OD ROKU 1861

TRĘBACKA 9

## Skład Broni i Nabojów

p.f. J. SOSNOWSKI

właściciel CZESŁAW LISOWSKI

b. wieloletni pracownik firmy „R. Ziegler“

Poleca po cenach niskich wielki wybór broni pierwszorzędnych fabryk zagranicznych, oraz naboje, gilzy i wszelkie przybory myśliwskie.

Warszawa, TRĘBACKA 9, Telef. 47-47.

**C-SKORYNA i S-KA** FABRYKA MASZYN  
i KAMIENI MŁYŃSKICH  
BUDOWA MŁYNÓW  
WARSZAWA-PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.  
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t. p.

**ALFONS MANN**

Warszawa, Tłomackie 3.

Fabryka założona w 1819 r.

Narzędzia gospodarsko-weterynaryjne. Maszyny do strzyżenia koni. Amerykańskie maszynki do golenia „Star“ i Gillette.

**SRODKI do ZĘBÓW**

ELIKSIR, PROSZEK i PASTA

Ojców

**BENEDYKTYNÓW**

Opactwa SOULAC

**WAŻNA UWAGA:**

Flakony eliksiru Benedyktynów nie opatrzone plombą komory celnej rosyjskiej powinny być uważane za podrobione.



MODEL FLAKONU

TRĘBACKA 9

**W. CYBULSKI i S-ka**

Telefon 60-29

Warszawa, Nowo-Senatorska 17.

Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

**DZIEŃ**

WIELKA BEZPARTYJNA GAZETA POPOŁUDNIOWA

wychodzi w Warszawie

pod redakcją naczelną **STEFANA GORSKIEGO**,  
z udziałem najwybitniejszych sił publicystycznych i pisarskich.

**Dzień** od początku wydawania pisma zyskał olbrzymią poczytność w Warszawie i kraju całym.

**Dzień** wykazał, że posiada depesze, szybkością informacji wyprzedzające inne pisma warszawskie.

**Dzień** zajmując stanowisko ściśle bezpartyjne, cieszy się współpracownictwem wybitnych pisarzy ze wszystkich obozów politycznych.

**Dzień** oprócz pierwszorzędnych artykułów wstępnych, podaje codziennie wywiady z głośniami osobistościami politycznymi Europy całej.

**Dzień** powagę treści łączy z lekkością formy, co czyni pismo zajmującym i nie nuży czytelnika.

**Dzień** działy artystyczno-literackie ma postawione na stopie pierwszorzędnej.

**Dzień** od Stycznia 1909 roku rozpoczyna druk wielkiej powieści

p. t. „Szaleństwo”

pióra znakomitej autorki „Córki Tuśki”,

**GABRYELI ZAPOLSKIEJ.**

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie:	Na prowincji i w Cesarstwie:
Rocznie rub. 9. —	Na prowincji i w Cesarstwie: Rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6,
Kwartalnie rub. 2.25	Półrocznie rb. 4.50
Miesięcznie kop. 75	Miesięcznie kop. 75
kwart. rb. 3, miesięcznie rb. 1.	kwart. rb. 3, miesięcznie rb. 1.
Za odosłanie do domu 5 kop. miesięcznie.	Za granicą: rocznie rb. 18,
	kwartalnie rb. 4 kop. 50.

Adres Redakcyi i Administracyi: WARECKA Nr 9.

Telefon Redakcyi Nr 68.10. Telefon Administracyi Nr 68.11.

**J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI** Krakowskie-Przedmieście Nr 19  
dom własny



# BOGUSŁAW HERSE

POLECA  
przed GWIAZDKĄ

WARSZAWA  
MARSZAŁKOWSKA 150

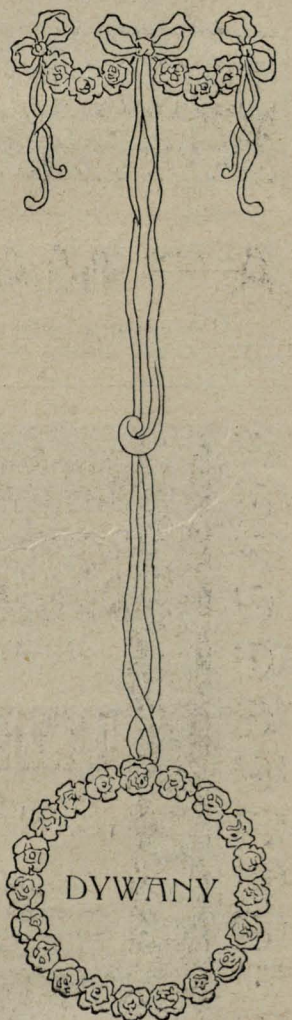
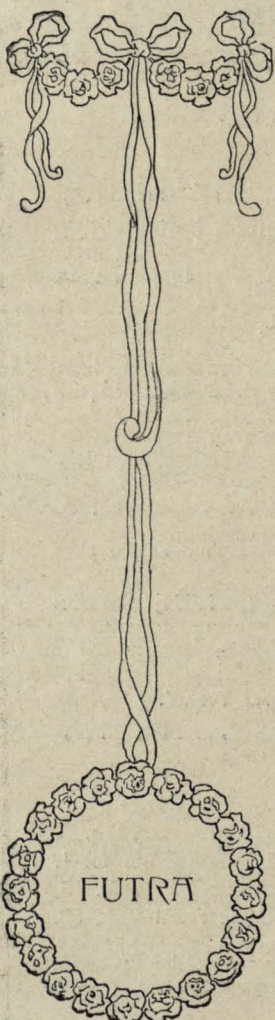
WYKWINTNE  
PRAKTYCZNE  
UPOMINKI.

Adres telegraficzny:  
HERSE-WARSZAWA  
Telefony: 15-30  
82-30



SUKNIE  
KOSTIUMY  
OKRYCIA  
KAPELUSZE  
BLUZKI  
NEGLIZE

WEŁNY  
JEDWABIE  
AKSAMITY  
KORONKI  
WSTĄŻKI  
PRZYBRANIA



11. Kołnierzyk batystowy	Rb. 0.60	22. Krawat „Bayadère”	Rb. 1.20	35. Torebka „SIOUX”	Rb. 8.50
12. Kołnierzyk batystowy	„ 0.85	23. Krawat z aksamitki	„ 1.25	36. Chusteczka z haft.	„ 1.75
13. Kołnierzyk „IRLANDE”	„ 1.20	24. Krawat z galonu	„ 5.50	37. Chusteczka z koronk.	„ 2.50
14. Sakiewka aksm. haft.	„ 24.—	25. Krawat z aksamitki	„ 6.75	38. Boa kalankowe od	„ 17.50
15. Bluzka jedwabna	„ 22.—	26. Torebka z ogniwek sbr.	„ 11.—	38. Boa nurkowe	„ 20.—
16. Frezka z haftu	„ 2.25	27. Żabot tiulowy dzierg.	„ 4.—	38. Boa sobolowe	„ 50.—
17. Opaska z krawatem	„ 2.75	28. Żabot tiulowy z koronk.	„ 2.75	39. Kołn. gronostajowy	„ 18.—
18. Frezka z haftu	„ 2.75	29. Woreczek aksm. haft.	„ 24.—	40. Podwiązki ozdobne	„ 5.—
19. Boa z piór strusich	„ 65.—	30. Pasek z torebką „SIOUX”	„ 15.—	41. Pończochy jedw.	„ 5.75
Boa z piór strusich od	„ 17.50	31. Krawat ozd. z aksamitki	„ 6.75	42. Krawat gronostajowy	„ 40.—
20. Pasek „SIOUX”	„ 8.50	32. Pasek ozd. skórkowy	„ 6.50	43. „Pantalon-jupon” od	„ 20.—
21. Żabot koronkowy	„ 5.50	33. Rękawiczki 22 guz.	„ 5.—	44. Mufka gronostajowa	„ 50.—
		34. Rękawiczki 12 „	„ 3.50		



# NADZWYCZAJNE PREMIUM

## Tygodnika Ilustrowanego

Dla uprzywilejowania najszerzym warstwom nabycia szeregu dzieł wartościowych, pióra pierwszorzędnych pisarzy polskich i obcych, postanowiliśmy zniżyć cenę

### 12 tomów cennych i zajmujących

powieści, nowel, poezji i dramatów tak, aby nabycie ich było możliwe dla wszystkich.

Jakoż oznaczamy cenę tę na RUBLI 2, czyli za ledwie **po złotówce za duży tom**, zawierający od 200—400 str. ścisłego druku.

Na premium nadzwyczajne przeznaczaliśmy książki następujące:

- K. Laskowski: „Melodye“, poezye.
- T. Jaroszyński: „Miasto“, powieść współczesna.
- J. Słowacki: „Zawisza Czarny“, dramat.
- A. Gruszecki: „Zwycięzcy“, powieść współczesna.
- A. Krechowicki: „Mrok“, powieść historyczna.
- M. Gorkij: „Dzieci słońca“, dramat.
- T. J. Choiński: „Różycy“, powieść z dziejów poznańskiego.
- K. Gliński: „Boruta“, powieść historyczna.
- F. Brodowski: „Chwile“, opowiadania, nastroje, nowele.
- Konar: „Panny“, powieść współczesna.
- Z. Sarnecki: „Szklana góra“, baśń sceniczna.
- F. Morzycka: „Powrotne fale“, nowele.

Nazwiska wymienione mówią same za siebie, reklamować ich nie trzeba; jest to naprawdę jedyna sposobność wzbogacenia biblioteki domowej za bajecznie niską cenę. (Przesyłka 12 tomów rub. 1).

Uzyskaliśmy też dla prenumeratorów *Tygodnika* znaczne zniżenie ceny wspaniałego, pomnikowego wydawnictwa:

### MALARSTWO POLSKIE W REPRODUKCYCH BARWNYCH

a mianowicie: zamiast 9 rubli za 6 zeszytów, prenumeratorzy nasi **płacić będą TYLKO RUBLI 6, z przesyłką rubli 7 kop. 50.**

Wydawnictwo to powinno się znaleźć w każdym domu polskim.

**MIŁUJĄCYM ZDROWIE!** poleca: **Okulary i Binokle** z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, **Mikrofony** dla głuchych, **Oliwa** usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, **Bandaż elektryczny** usuwają rupturę, nie kępują ruchów od rb. 6, **Przepaski higieniczne** Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów **w dobrym gatunku.** Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w **zakładzie Michała Pik, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.**

## KRAKÓW Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.



### L. MARCHOWIECKI Krak.-Przedmieście 23 (vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, ciepłe pantofle, etc. Wyrób własny, ceny niskie.



Słynna ze swych własności aromatycznych, właściwych substancjom roślinnym, służącym do jej przygotowania.

DO NABYCIA WSZĘDZIE.

**MAŁECKI**  
Fabryka Fortepianów i Pianin  
PIĘKNA Nr 1 (róg Alei Ujazdowskiej) tel. 170,65.

Wyprzedajemy z dawnych zapasów **5,000 gąsiork. wina węg.**  
wytrawnego, średniego lub słodkiego po wyjąkowej cenie rub. 1 kop. 20.  
Dostawa 15 gąsiorków franko.  
Skład Win i Koniaku **Braci KEMPNERÓW**  
Długa Nr 5. Telefonu Nr 772.

**Denaturowany spirytus.**  
Spirytus stały w puszkach, spirytusowe lampy, palniki, kucharki, żelazka i t. p.  
**B. CIA WIŚNIEWSKY I S.**  
Foksal 18, Telefon 3003.

**SALON „ARS”**  
Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).  
Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

### J. GOŁEMBIOWSKI ZEGARMISTRZ

Marszałkowska 111

egzystuje od 1880 roku.

Magazyn zawsze zaopatrzonej w pierwszorzędny towar. Ceny niskie. Gwarancja poważna.

### LUDWIK SZUFA KRAWIEC KRAKOW TELEFON 671

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE, ORGANY, MELODYKONY



### GEBETHNER i WOLFF Warszawa, Krak.-Przed. 17

### J. MIECZKOWSKI, Fotografia Marszałkowska III. Telefon 16.81.

### LECZNICA DLA DZIECI D-ra Juliana Gawrońskiego

Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej), telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11 rano. **Porada 50 kop.**

### Dr. I. Wapiński ord. klin. szpitala świętego Łazarza Nowosenańska 10. Telefon 942. Choroby skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w.

### Księgarnie Gebethnera i Wolffa W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9 pośredniczą

w prenumeracie pism krajowych i zagranicznych po cenach redakcyjnych.

Wszystkim rocznym prenumeratorom „Tygodnika ilustrowanego” po opłaceniu przedpłaty za kwartał IV r. b. rozesłane będzie premium za rok bieżący.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele** Browaru poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

Szanowny Panie Redaktorze!

Upraszam łaskawie o umieszczenie w *Tygodniku* następującej odezwy:

„Zasylając jeszcze raz błogosławieństwo i serdeczne Bóg zapłać wszystkim tym, którzy nadsyłali mi stare marki dla „Stowarzyszenia Misyjonarskiego w Leodyum“, upraszam uprzejmie o przysyłanie takich i nadal, ponieważ jednak na pewien czas wyjeżdżam z Korca, proszę o wysyłanie marek pod adresem: m. Korzec, Wołyń, dr. Franciszek Szpakowski“.

Ks. Ignacy Loyola Dubowski.

Proboszcz korecki

P. S. Inne pisma polskie proszę o przedrukowanie niniejszej mojej odezwy.

Wołyń. Korzec.



### ODPOWIEDZI.

*Panu A. G. w Łomży.* Nadesłana nam odbitka przedstawia t. zw. scudo, monetę, równającą się pod względem ilości metalu i wagi ówczesnym talarom. Jako wchodząca w zakres numizmatyki włoskiej, nie ma ona u nas odbiorców, dlatego też i wartości żadnej na miejscu nie przedstawia. We Włoszech, podług katalogów antykwarskich, ceni się 10—12 franków, za omawiany jednak egzemplarz nie udałoby się sumy tej osiągnąć z racji skażenia go przez dorobienie uszka, co, jak wiadomo, zawsze ujemnie odbija się na wartości monety. Naszem zdaniem, w tym stanie, w jakim się znajduje, warta jest najwyżej rb. 3.

*P. Ey.* Wiersze Pańskie wcale niezłe, ale wobec przepelnienia teki redakcyjnej nie możemy się co do nich do niczego zobowiązywać.

*P. A. Skowronskiemu w Zgierzu.* Polecić możemy *Nowości Muzyczne*. Warszawa, Warecka 15, rocznie rb. 5.

*P. Zbyszko.* Redakcja nasza nie zajmuje się rozwiązywaniem szarad.

*P. Janowi Starzy.* Z artykułu pańskiego p. t. „Dlaczego?” nie skorzystamy, chociaż zawiera w sobie głębokie i trafne myśli; obecnie jednak, pod koniec roku, nie mielibyśmy dla niego miejsca w *Tygodniku*.

*P. M. Sucheckiemu w Wiedniu.* Oczywiście, stało się to tylko przez niedopatrznie.

*P. W. J.* Wiersze Pańskie nie dla nas: za słabe!

*P. St. Szew.* „Skrzypczki grajcie...” dość wdzięczna impresya, ale jeszcze nie na poziomie naszych wymagań literackich.

*P. Jedlinie.* Obrazowanie słabe, język ubogi, końcówki wierszy jakby dorobione dla rymu: są i usterki: „głosem—sosen“ to nie rym; „musimy“, nie „musiemy“; wogóle rymy pospolite i łatwe.

*P. Eliazowi Neut.* Wiersza pańskiego na śmierć b. p. M. Bersohna nie wydrukujemy, niema w nim bowiem nic—prócz dobrych chęci. Zawczasem jeszcze na drukowanie i trzeba najpierw uczyć się, dużo czytać, poznać zasady wiersza i stylu.

*P. St. Kl.* Wiersza na rocznicę pogrzebu Wyspiańskiego nie wydrukujemy.

*P. K. Chodźce.* Wydawnictwo, o które Sz. P. zapytuje, urwało się na pierwszym zeszytcie; redakcja powinna zwrócić pobrane naprzód pieniądze.





z Poznania. Atelier reparacyjne  
WIERZBOWA № 6 (Hotel Angielski)

Józef SUPPERT

nowo- Bizuteryę poleca  
czesnych, oraz

Zegary, Zegarki

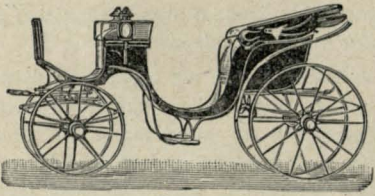


# Bracia Osinscy

Warszawa, Nlecała Nr 2 (róg wierzbowej)

Główny skład Kryształów czeskich fabryki Hr. Harracha „Nowy-Svet” (Czechy)  
z kryształów, porcelany, terrakoty i majoliki, niebywały wybór serwisów stołowych, porcelanowych, krajow., czeskich i francuskich „Limoges”.

Ceny fabryczne.  
polecają wielki wybór  
OSTATNICH NOWOŚCI



## FABRYKA POWOZÓW Józefa Golińskiego dawniej Karola Sommera

LESZNO 36. Telefon 40-10.

Poleca wielki wybór powozów najnowszych fasonów. Cenniki ilustrowane.

## ZABAWKI

Gry salonowe. Kotyliionowe przybory.  
Witraże do okien. Filtry do wody.  
Nowości paryskie. Katalogi franco.

MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8).

## M. Wrześniewski

Plac Teatralny 9, telefon 34-14

poleca:

BROSZE najnowsze i najpiękniejsze modele stylowe  
BRANSOLETY Empire i Louis XVI oraz fantazyjne; skromne i bardzo bogate z brylantami, perłami  
PIERŚCIONKI ne i bardzo bogate z brylantami, perłami  
PENDENTIFS i kolorowemi kamieniami.

SPINKI

GUZIKI do kamizelek ostatnie nowości w złocie,  
PAPIEROŚNICE platynie i srebrze, z kamie-  
ZAPALNICZKI niami lub bez.

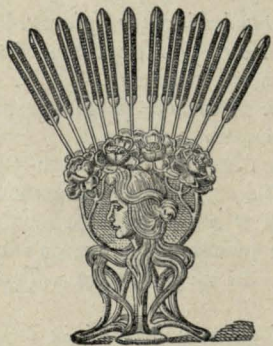
BURSY

ŁAŃCUCHY piękne nowe fasony.  
DEWIZKI

Zegarki damskie fantazyjne, bogato dekorowane kamieniami i emalią. Bransolety z zegarkami.

Lusterka, Breloki, Flakony, Bonbonierki, Ołówki, Cygarniczki, Scyzoryki, oraz duży wybór drobiazgów, nadających się na

Upominki Gwiazdkowe.



## A. JASKULSKI

WARSZAWA, WIERZBOWA Nr 1.

SKŁAD FABRYCZNY WYR. PLATEROWANYCH  
Akc. Tow. R. PLEWKIEWICZ i S-ki

poleca: Sztuce i nakrycia stołowe najnowszych modeli na wyprawy. Wielki wybór artykułów z brązu, srebra, niklu i t. p., stosownych na wszelkie dary i prezenta okolicznościowe.

NAJNOWSZE CENNIKI ILLUSTROWANE.

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH  
EKSTRAKT I KARMEŁKI

## LELIWA

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.  
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

PASTILLES  
DE

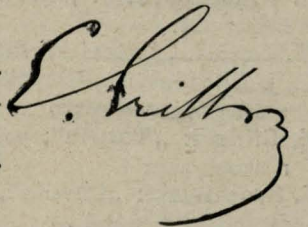
## TAMAR INDIEN GRILLON

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający  
PRZECIW  
OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



Zdrowie mieli i szczęśliwi byli pradziadowie nasi, kiedy pili stary słowiański trunek

## MIÓD

Olbrzymie zapasy miodów w pierwszej największej miodosytni

## W. WYSOCKIEGO

w Warszawie, ul. Podwałe Nr 25.

Nabywać można: WARSZAWA: 1) Wysocki (Podwałe Nr 25. 2) Wysocki Mazowiecka Nr 3 (ze sprzedażą na szklanki) i 3) we wszystkich znaczniejszych handlach win, restauracjach i piwiarniach całego Królestwa. PETERSBURG: 1) Slenkiewicz, Czernyszewskiej Pereulok, Nr 14; 2) Arefjew, Kazańskie Nr 2. WILNO: 1) Stempkowski, 2) Rymkiewicz, 3) Grużewski, 4) Dawidowski „Veritas”.—KIJOW: Paszkow i Synowie.—BRJANSK: Grabowski.—RYGA: Rathel—ODESA: 1) Bratkowski, ul. Kobleńska Nr 40; 2) Witanowski, ulica Ryszelejewska Nr 19 i 3) Tomaszewski, ul. Sadowa 16. — CHARKOW: Jampolski. — EKATERYNOSŁAW: 1) Bobowicz, 2) Dzygit i 3) Zaporozec.

W. Wysocki, Podwałe Nr 25 i ulica Mazowiecka Nr 3. Wina słodkie i wytrawne, sprwadane z pierwszych rąk, w najlepszych gatunkach, po cenach najniższych, począwszy od 35 kop. Również Wina zagraniczne, Likierzy i t. d.

L. Lipiński (Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12.) Wielki wybór brylantów, kolorowych kamieni i pereł oraz biżuteryi złotej i srebrnej w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1857.  
WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie,

Nagrodz. złotym medalem na wyst. przemysł.-zdrojowej w Ciechocinku Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzeininowych T. & W. Krakowscy Kantor: Warszawa, Nowogrodzka 36. Tel. 36.83.

PLYN Cena flak. rub. 1. HEMOGEN MAGISTRA KLAWE stosowany przy ogólnem osłabieniu, maokrwistości, osł. nerwów i u rekonwalescent. każdego wieku. Uznany przez powagi lekarskie, jako dzielny środek krwiotwórczy i pobudzający apetyt. Wyrób laboratorium apteki Magistra Klawe, Warszawa, 10 Pl. Św. Aleksandra.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa